ARCYDZIEŁA KLASYKI LITERATURY

William Shakespeare

Romeo i Julia

publio

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ARCYDZIEŁA KLASYKI LITERATURY

William Shakespeare

Romeo i Julia

Tłumaczenie Józef Paszkowski

WARSZAWA 2012

Spis treści

Osoby

Akt pierwszy

- Prolog
- Scena I
- Scena II
- Scena III
- Scena IV
- Scena V

Akt drugi

- Prolog
- Scena I
- Scena II
- Scena III
- Scena IV
- Scena V
- Scena VI

Akt trzeci

- Scena I
- Scena II
- Scena III
- Scena IV
- Scena V

Akt czwarty

- Scena I

Scena II
Scena III
Scena IV
Scena V
Akt piąty
Scena I
Scena II
Scena III
Metryczka książki

OSOBY

ESKALUS – książę panujący w Weronie
PARYS – młody Weroneńczyk szlachetnego rodu, krewny księcia
MONTEKI
KAPULET
STARZEC – stryjeczny brat Kapuleta
ROMEO – syn Montekiego
MERKUCJO – krewny księcia
BENWOLIO – synowiec Montekiego
TYBALT – krewny Pani Kapulet
LAURENTY – ojciec franciszkanin
JAN – brat z tegoż zgromadzenia
BALTAZAR – służący Romea
SAMSON
GRZEGORZ
ABRAHAM – służący Montekiego
APTEKARZ
TRZECH MUZYKANTÓW
PAŹ PARYSA
PIOTR
DOWÓDCA WARTY
PANI MONTEKI – małżonka Montekiego
PANI KAPULET – małżonka Kapuleta
JULIA – córka Kapuletów
MARTA – mamka Julii

Obywatele weroneńscy, różne osoby płci obojej, liczący się do przyjaciół obu domów, maski, straż wojskowa i inne osoby.

Rzecz odbywa się przez większą część sztuki w Weronie, przez część piątego aktu w Mantui.

AKT PIERWSZY

Prolog

Dwa rody, zacne jednako i sławne –
Tam, gdzie się rzecz ta rozgrywa, w Weronie,
Do nowej zbrodni pchają złości dawne,
Plamiąc szlachetną krwią szlachetne dłonie

Z łon tych dwu wrogów wzięło bowiem życie,
Pod najstraszliwszą z gwiazd, kochanków dwoje;
Po pełnym przygód nieszczęśliwych bycie
Śmierć ich stłumiła rodzicielskie boje.

Tej ich miłości przebieg zbyt bolesny
I jak się ojców nienawiść nie zmienia,
Aż ją zakończy dzieci zgon przedwczesny,
Dwugodzinnego treścią przedstawienia,

Które otoczcie cierpliwymi względy,
Jest w nim co złego, my usuniem błędy...
(Przełożył Jan Kasprowicz)

Scena I

Plac publiczny. Wchodzą SAMSON i GRZEGORZ uzbrojeni w tarcze i miecze.

SAMSON
Dalipan, Grzegorzu, nie będziem darli pierza.

GRZEGORZ
Ma się rozumieć, bobyśmy byli zdziercami.

SAMSON
Ale będziemy darli koty, jak z nami zadrą.

GRZEGORZ
Kto zechce zadrzeć z nami, będzie musiał zadrżeć.

SAMSON
Mam zwyczaj drapać zaraz, jak mię kto rozrucha.

GRZEGORZ
Tak, ale nie zaraz zwykłeś się dać rozruchać.

SAMSON
Te psy z domu Montekich rozruchać mię mogą bardzo łatwo.

GRZEGORZ
Rozruchać się tyle znaczy co ruszyć się z miejsca; być walecznym jest to stać nieporuszenie: pojmuję więc, że skutkiem rozruchania się twego będzie – drapnięcie.

SAMSON
Te psy z domu Montekich rozruchać mię mogą tylko do stania na miejscu. Będę jak mur dla każdego mężczyzny i każdej kobiety z tego domu.

GRZEGORZ
To właśnie pokazuje twoją słabą stronę; mur dla nikogo niestraszny i tylko słabi go się trzymają.

SAMSON
Prawda, dlatego to kobiety, jako najsłabsze, tulą się zawsze do muru. Ja też odtrącę od muru ludzi Montekich, a kobiety Montekich przyprę do muru.

GRZEGORZ
Spór jest tylko między naszymi panami i między nami, ich ludźmi.

SAMSON
Mniejsza mi o to, będę nieubłagany. Pobiwszy ludzi, wywrę wściekłość na kobietach: rzeź między nimi sprawię.

GRZEGORZ
Rzeź kobiet chcesz przedsiębrać?

SAMSON
Nie inaczej: wtłoczę miecz w każdą po kolei. Wiadomo, że się do lwów liczę.

GRZEGORZ
Tym lepiej, że się liczysz do zwierząt; bo gdybyś się liczył do ryb, to byłbyś pewnie sztokfiszem. Weź no się za instrument, bo oto nadchodzi dwóch domowników Montekiego.

Wchodzą ABRAHAM i BALTAZAR.

SAMSON
Mój giwer już dobyty: zaczep ich, ja stanę z tyłu.

GRZEGORZ
Gwoli drapania?

SAMSON
Nie bój się.

GRZEGORZ
Ja bym się miał bać z twojej przyczyny!

SAMSON
Miejmy prawo za sobą, niech oni zaczną.

GRZEGORZ
Marsa im nastawię przechodząc; niech go sobie, jak chcą, tłumaczą.

SAMSON
Nie jak chcą, ale jak śmią. Ja im gębę wykrzywię; hańba im, jeśli to ścierpią.

ABRAHAM
Skrzywiłeś się na nas, mości panie?

SAMSON
Nie inaczej, skrzywiłem się.

ABRAHAM
Czy na nas się skrzywiłeś, mości panie?

SAMSON
do GRZEGORZA

Będziemyż mieli prawo za sobą, jak powiem: tak jest?

GRZEGORZ
Nie.

SAMSON
Nie, mości panie; nie skrzywiłem się na was, tylko skrzywiłem się tak sobie.

GRZEGORZ
do ABRAHAMA

Zaczepki waść szukasz?

ABRAHAM
Zaczepki? nie.

SAMSON
Jeżeli jej szukasz, to jestem na waścine usługi. Mój pan tak dobry jak i wasz.

ABRAHAM
Nie lepszy.

SAMSON
Niech i tak będzie.

BENWOLIO ukazuje się w głębi.

GRZEGORZ
na stronie do SAMSONA

Powiedz: lepszy. Oto nadchodzi jeden z krewnych mego pana.

SAMSON
Nie inaczej; lepszy.

ABRAHAM
Kłamiesz.

SAMSON
Dobądźcie mieczów, jeśli macie serca. Grzegorzu, pamiętaj o swoim pchnięciu.

BENWOLIO
Odstąpcie, głupcy; schowajcie miecze do pochew. Sami nie wiecie, co robicie.
rozdziela ich swoim mieczem

Wchodzi TYBALT.

TYBALT
Cóż to? krzyżujesz oręż z parobkami?
Do mnie, Benwolio! pilnuj swego życia.

BENWOLIO
Przywracam tylko pokój. Włóż miecz nazad
Albo wraz ze mną rozdziel nim tych ludzi.

TYBALT
Z gołym orężem pokój? Nienawidzę
Tego wyrazu, tak jak nienawidzę
Szatana, wszystkich Montekich i ciebie.
Broń się, nikczemny tchórzu.

Walczą. Nadchodzi kilku przyjaciół obu partii i mieszają się do zwady; wkrótce potem wchodzą mieszczanie z pałkami.

PIERWSZY OBYWATEL

Hola! berdyszów! pałek! Dalej po nich!
Precz z Montekimi, precz z Kapuletami!

Wchodzą KAPULET i PANI KAPULET.

KAPULET
Co za hałas? Podajcie mi długi
Mój miecz! hej!

PANI KAPULET
Raczej kulę; co ci z miecza?

KAPULET
Miecz, mówię! Stary Monteki nadchodzi.
I szydnie swoją klingą mi urąga.

Wchodzą MONTEKI i PANI MONTEKI.

MONTEKI
Ha! nędzny Kapulecie!
do żony

Puść mnie, pani.

PANI MONTEKI
Nie puszczę cię na krok, gdy wróg przed tobą.

Wchodzi KSIĄŻĘ z orszakiem.

KSIĄŻĘ
Zapamiętali niesforni poddani,
Bezcześciciele bratniej stali! Cóż to,
Czy nie słyszycie? Ludzie czy zwierzęta,
Co wściekłych swoich gniewów żar gasicie
W własnych żył swoich źródle purpurowym;

Pod karą tortur wypuśćcie natychmiast
Z dłoni skrwawionych tę broń buntowniczą
I posłuchajcie tego, co niniejszym
Wasz rozjątrzony książę postanawia.
Domowe starcia, z marnych słów zrodzone
Przez was, Monteki oraz Kapulecie,
Trzykroć już spokój miasta zakłóciły,
Tak że poważni wiekiem i zasługą
Obywatele werońscy musieli
Porzucić swoje wygodne przybory
I w stare dłonie stare ująć miecze,
By zardzewiałym ostrzem zardzewiałe
Niechęci wasze przecinać. Jeżeli
Wzniecicie kiedyś waśń podobną,
Zamęt pokoju opłacicie życiem.
A teraz wszyscy ustąpcie niezwłocznie.
Ty, Kapulecie, pójdziesz ze mną razem;
Ty zaś, Monteki, przyjdziesz po południu
Na ratusz, gdzie ci dokładnie w tym względzie
Dalsza ma wola oznajmiona będzie.
Jeszcze raz wzywam wszystkich tu obecnych
Pod karą śmierci, aby się rozeszli.

KSIĄŻĘ z orszakiem wychodzi. Podobnież KAPULET, PANI KAPULET, TYBALT, obywatele i słudzy.

MONTEKI
Kto wszczął tę nową zwadę? Mów, synowcze,
Był żeś tu wtedy, gdy się to zaczęło?

BENWOLIO
Nieprzyjaciela naszego pachołcy

I wasi już się bili, kiedym nadszedł;
Dobyłem broni, aby ich rozdzielić:
Wtem wpadł szalony Tybalt z gołym mieczem,
I harde zionąc mi w uszy wyzwanie,
Jął się wywijać nim i siec powietrze,
Które świszczało tylko szydząc z marnych
Jego zamachów. Gdyśmy tak ze sobą
Cięcia i pchnięcia zamieniali, zbiegł się
Większy tłum ludzi; z obu stron walczono,
Aż książę nadszedł i rozdzielił wszystkich.

PANI MONTEKI
Lecz gdzież Romeo? Widział żeś go dzisiaj?
Jakże się cieszę, że nie był w tym starciu.

BENWOLIO
Godziną pierwej, nim wspaniałe słońce
W złotych się oknach wschodu ukazało,
Troski wygnały mię z dala od domu
W sykomorowy ów gaj, co się ciągnie
Ku południowi od naszego miasta.
Tam, już tak rano, syn wasz się przechadzał.
Ledwiem go ujrzał, pobiegłem ku niemu;
Lecz on, spostrzegłszy mię, skrył się natychmiast
I w najciemniejszej ukrył się gęstwinie.
Pociąg ten jego do odosobnienia
Mierząc mym własnym (serce nasze bowiem
Jest najczynniejsze, kiedyśmy samotni),
Nie przeszkadzałem mu w jego dumaniach
I w inną stronę się udałem, chętnie
Stroniąc od tego, co rad mnie unikał.

MONTEKI
Nieraz o świcie już go tam widziano
Łzami poranną mnożącego rosę,
A chmury – swego oblicza chmurami,
Aliści ledwo na najdalszym wschodzie
Wesołe słońce sprzed łoża Aurory
Zaczęło ściągać cienistą kotarę,
On, uciekając od widoku światła,
Co tchu zamykał się w swoim pokoju;
Zasłaniał okna przed jasnym dnia blaskiem
I sztuczną sobie ciemnicę utwarzał.
W czarne bezdroża dusza jego zajdzie,
Jeśli się na to lekarstwo nie znajdzie.

BENWOLIO
Szanowny stryju, znaszże powód tego?

MONTEKI
Nie znam i z niego wydobyć nie mogę.

BENWOLIO
Wybadywał żeś go jakim sposobem?

MONTEKI
Wybadywałem i sam, i przez drugich,
Lecz on jedyny powiernik swych smutków.
Tak im jest wierny, tak zamknięty w sobie,
Od otwartości wszelkiej tak daleki
Jak pączek kwiatu, co go robak gryzie,
Nim światu wonny swój kielich roztoczył
I pełność swoją rozwinął przed słońcem.

Gdybyśmy mogli dojść tych trosk zarodka,
Nie zbrakłoby nam zaradczego środka.

ROMEO ukazuje się w głębi.

BENWOLIO
Oto nadchodzi. Odstąpcie na stronę;
Wyrwę mu z piersi cierpienia tajone.

MONTEKI
Obyś w tej sprawie, co nam serce rani,
Mógł być szczęśliwszym od nas! Pójdźmy, pani.

Wychodzą MONTEKI i PANI MONTEKI.

BENWOLIO
Dzień dobry, bracie.

ROMEO
Jeszczeż nie południe?

BENWOLIO
Dziewiąta biła dopiero.

ROMEO
Jak nudnie
Wloką się chwile. Moiż to rodzice
Tak spiesznie w tamtą zboczyli ulicę?

BENWOLIO
Tak jest. Lecz cóż tak chwile twoje dłuży?

ROMEO
Nieposiadanie tego, co je skraca.

BENWOLIO
Miłość więc?

ROMEO
Brak jej.

BENWOLIO
Jak to? brak miłości?

ROMEO
Brak jej tam, skąd bym pragnął wzajemności.

BENWOLIO
Niestety! Czemuż, zdając się niebianką,
Miłość jest w gruncie tak srogą tyranką?

ROMEO
Niestety! Czemuż, z zasłoną na skroni,
Miłość na oślep zawsze cel swój goni!
Gdzież dziś jeść będziem? Ach! Był tu podobno
Jakiś spór? Nie mów mi o nim, wiem wszystko.
W grze tu nienawiść wielka, lecz i miłość.
O! wy sprzeczności niepojęte dziwa!
Szorstka miłości! nienawiści tkliwa!
Coś narodzone z niczego! Pieszczoto
Odpychająca! Poważna pustoto!
Szpetny chaosie wdzięków! Ciężki puchu!
Jasna mgło! Zimny żarze! Martwy ruchu!
Śnie bez snu! Taką to w sobie zawiłość,
Taką niełączność łączy moja miłość.
Czy się nie śmiejesz?

BENWOLIO
Nie, płakałbym raczej.

ROMEO
Nad czym, poczciwa duszo?

BENWOLIO
Nad uciskiem,
Poczciwej duszy twojej.

ROMEO
A więc strzała
Miłości nawet przez odbitkę działa?
Dość mi już ciężył mój smutek, ty jego
Brzemię powiększasz przewyżką twojego;
Współczucie twoje nad moim cierpieniem
Nie ulgą, ale nowym jest kamieniem
Dla mego serca. Miłość, przyjacielu,
To dym, co z parą westchnień się unosi;
To żar, co w oku szczęśliwego płonie;
Morze łez, w którym nieszczęśliwy tonie.
Czymże jest więcej? Istnym amalgamem,
Żółcią trawiącą i zbawczym balsamem.
Bądź zdrów.
chce odejść

BENWOLIO
Zaczekaj! krzywdę byś mi sprawił,
Gdybyś mą przyjaźń z kwitkiem tak zostawił.

ROMEO

Ach! ja nie jestem tu, nie jestem sobą;
To nie Romeo, co rozmawia z tobą.

BENWOLIO
Kogóż to kochasz? mów!

ROMEO
Przestań mię dręczyć.
Mamże wraz jęczyć i mówić?

BENWOLIO
Nie jęczyć,
Tylko mi klucz dać do tego problemu,
Kogóż to kochasz? Powiedz.

ROMEO
Każ choremu
Pisać testament: będzież to wezwanie
Dobre dla tego, kto jest w tak złym stanie?
A więc, kobietę kocham.

BENWOLIO
Celniem mierzył,
Gdym to pomyślał, nimeś mi powierzył.

ROMEO
Biegle celujesz. I ta, którą kocham,
Jest piękna.

BENWOLIO
W piękny cel trafić najłatwiej.

ROMEO
A właśnieś chybił. Niczym tu kołczany
Kupida; ona ma naturę Diany;
Pod twardą zbroją wstydliwości swojej
Grotów miłości wcale się nie boi;
Szydzi z nawału zaklęć oblężniczych;
Odpiera szturmy spojrzeń napastniczych;
Nawet jej złota wszechwładztwo nie zjedna.
Bogata w wdzięki, w tym jedynie biedna,
Że kiedy umrze, do grobu z nią zstąpi
Całe bogactwo, którego tak skąpi.

BENWOLIO
Wiecznież chce sama zostać z swym bogactwem?

ROMEO
Tak jest; i skąpstwo to jest marnotrawstwem,
Bo piękność, którą własna srogość strawia,
Całą potomność piękności pozbawia.
Zbyt ona piękna, zbyt mądra zarazem;
Zbyt mądrze piękna: stąd istnym jest głazem.
Przysięgła nigdy nie kochać i dzięki
Temu skazanym – wieczne cierpieć męki.

BENWOLIO
Jest na to rada: przestań myśleć o niej.

ROMEO
Doradźże także, jakim bym sposobem
Mógł przestać myśleć.

BENWOLIO
Dając oczom wolność
Rozpatrywania się w innych pięknościach.

ROMEO
To byłby tylko sposób przywołania
Jej cudnych wdzięków tym żywiej na pamięć.
Maska kryjąca lica pięknej damy,
Choć czarna, nęci nas, bo przeczuwamy
Pod nią zbiór ponęt; ten, co wzrok postradał,
Zapomniż kiedy, jaki skarb posiadał?
Pokaż mi jaki ideał dziewczęcy,
Będzież on dla mnie w istocie czym więcej
Jak przypomnieniem, że jest piękność inna,
Przed którą ta by uklęknąć powinna?
Bądź zdrów, niewczesną podajesz mi radę.

BENWOLIO
Najpraktyczniejszą – życie w zastaw kładę.
Wychodzą.

Scena II

Ulica. Wchodzą KAPULET i PARYS, za nimi SŁUŻĄCY.

KAPULET
Podobną jak mnie karą zagrożono
I Montekiemu; ależ w wieku naszym
Spokojnie siedzieć, rzecz nietrudna.

PARYS
Oba
Szanownych szczepów jesteście odrośle;
Tym ci żałośniej, że od tyla czasu
Żyjecie w takim rozdwojeniu z sobą.
Cóż mówisz, panie, na moje zabiegi?

KAPULET
To samo, co już dawniej powiedziałem:
Mojemu dziecku świat jest jeszcze obcy,
Ledwie czternastu lat wysnuła przędzę;
Parę jej wiosen jeszcze przeżyć trzeba,
Nim małżeńskiego zakosztuje chleba.

PARYS
Z młodszych bywały nieraz szczęsne matki.

KAPULET
Lecz prędko więdną przedwczesne mężatki.
Ziemia schłonęła wszystkie me nadzieje:
Oprócz tej jednej; ona jest, Parysie,
Przyszłą, jedyną moich ziem dziedziczką.
Staraj się jednak, skarb sobie jej serce,
Chęć ma z jej chęcią nie będzie w rozterce;
Jeśli cię przyjmie, głos ojca w tym względzie
Jej pozwolenia echem tylko będzie.
Daję dziś wieczór, na który niemało
Gości sprosiłem; gdyby ci się dało
Być jednym więcej, w nader miły sposób
Zwiększyłbyś przez to zbiór miłych mi osób.
W biednym mym domu, jednocześnie z nocą,

Takie dziś gwiazdy ziemskie zamigocą,
Że od ich blasku blask niebieski zblednie.
Uciechy, młodym ludziom odpowiednie,
Podobne do tych, jakie kwiecień sprawia,
Gdy w starym progu zimy się pojawia;
Takie uciechy, w całej swojej mocy,
Wśród hożych dziewic staną się tej nocy
Udziałem twoim w domu Kapuletów.
Przyjdź, przejrz i wybierz sobie z tych bukietów
Kwiat najpiękniejszy. I mój kwiat tam luby
Wejdzie do liczby, choć nie do rachuby.
Idźmy.

do SŁUGI

A wasze obejdź w krąg Weronę,

Wynajdź osoby tu wyszczególnione

oddaje mu papier

I powiedz każdej: że mój dom otworem

Na ich usługi stanie dziś wieczorem.

Wychodzą KAPULET i PARYS.

SŁUŻĄCY

Mam wynaleźć osoby tu wyszczególnione: to się znaczy według tego, co tu napisano... A cóż tu napisano? Oto: że szewc ma pilnować łokcia, a krawiec kopyta; rybak pędzla, a malarz więcierza. Jakże wynajdę osoby tu wyszczególnione, kiedy nie mogę wynaleźć środka na wyczytanie tego, co osoba pisząca tu wyszczególniła? Kazano mi jednak; muszę się udać do uczonych. Oto jacyś ichmoście. W samą porę nadchodzą.

Wchodzi ROMEO i BENWOLIO.

BENWOLIO
Tak, bracie, płomień spędza się płomieniem,
Ból dawny nowym leczy się cierpieniem;
Kręć się na odwrót, gdy masz zawrót głowy;
Klin wyrugujesz, klin wbijając nowy;
Zaczerpnij nowej zarazy do łona,
A jad dawniejszej niewątpliwie skona.

ROMEO
Liść pokrzywiany wyborny jest na to.

BENWOLIO
Na cóż to, proszę?

ROMEO
Na oparzeliznę;
Spróbuj no tylko.

BENWOLIO
Powiedz mi, Romeo,
Czyś ty oszalał?

ROMEO
Nie, nie oszalałem;
Lecz wpadłem w gorszy stan niż szalonego;
W loch się dostałem, jestem pastwą głodu,
Chłost i mąk... Dobry wieczór, przyjacielu.

SŁUŻĄCY
Nawzajem, panie. Czy umiesz pan czytać?

ROMEO
Niestety! umiem w moim przeznaczeniu
Czytać niedolę.

SŁUŻĄCY
Tego się bez książki
Można nauczyć; ale ja się pytam,
Czy pan pisane rzeczy umie czytać?

ROMEO
Małej mi rzeczy do tego potrzeba,
To jest znać tylko język i litery.

SŁUŻĄCY
Słusznie pan mówisz, bądźże zdrów i wesół.
chce odejść

ROMEO
Czekaj no, wasze, umiem czytać.
czyta

„Sinior Martino, jego małżonka i córki. Hrabia Anzelm ze swymi pięknymi siostrami. Siniora wdowa po Witruwiuszu. Sinior Placentio i jego miłe siostrzenice. Merkucjusz i jego brat Walenty. Mój stryj Kapulet z małżonką i córkami. Moja śliczna siostrzenica, Rozalina, Liwia, Sinior Valentio i nasz kuzyn Tybalt. Lucjusz i nadobna Helena". Wspaniałe grono!
oddaje kartę

Gdzież oni przyjść mają?

SŁUŻĄCY

Owdzie.

ROMEO
Gdzie?

SŁUŻĄCY
Do naszego pałacu, na wieczerzę.

ROMEO
Do czyjego pałacu?

SŁUŻĄCY
Mojego pana.

ROMEO
W istocie powinienem się był przede wszystkim spytać, kto nim jest.

SŁUŻĄCY
Oznajmię to panu bez pytania: moim panem jest możny, bogaty Kapulet; jeżeli panowie nie jesteście z domu Montekich, to was zapraszam do niego na kubek wina. Bądźcie weseli.
wychodzi

BENWOLIO
Na tym wieczorze Kapuleta będzie
Bożyszcze twoje, piękna Rozalina,
Obok najpierwszych piękności werońskich.
Pójdź tam i okiem bezstronnym porównaj
Jej twarz z obliczem tych, które ci wskażę:
Wnet nowe bóstwo ślad dawnego zmaże.

ROMEO
Gdyby rzetelny mój wzrok tak fałszywe
Miał dać świadectwo, łzy, stańcie się żarem!
Wy, zalewane wciąż, a jeszcze żywe
Przezrocza, spłońcie pod kłamstwa nadmiarem!
Zatrzeć jej wdzięki! Nigdy wszechwidzące
Równej piękności nie widziało słońce.

BENWOLIO
Wielbisz ją, boś ją jedną na oboich
Ważył dotychczas szalach oczu swoich,
Lecz umieść na tej wadze kryształowej
Obok niej inną, którą ci gotowy
Będę dziś wskazać; a ręczę, że owa
Nieporównana w kąt się przed tą schowa.

ROMEO
Pójdę tam, ale z obojętnym okiem,
Jednej wyłącznie poić się widokiem.
Wychodzą.

Scena III

Pokój w domu Kapuletów. Wchodzi PANI KAPULET i MARTA.

PANI KAPULET
Gdzie moja córka? Idź ją tu przywołać.

MARTA
Na moją cnotę do dwunastu wiosen –

Już ją wołałam. Pieszczotko, biedronko!
Julciu! pieszczotko moja! moje złotko!
Boże, zmiłuj się! Gdzież ona jest? Julciu!
Wchodzi JULIA.

JULIA
Czy mnie kto wołał?

MARTA
Mama.

JULIA
Jestem, pani;
Co mi rozkażesz?

PANI KAPULET
Słuchaj. Odejdź, Marto;
Mam z nią sam na sam coś do pomówienia.
Marto, pozostań; przychodzi mi na myśl,
Że twa obecność może być potrzebna.
Julka ma piękny już wiek, wszakże prawda?

MARTA
Ba, mogę wiek jej policzyć na palcach.

PANI KAPULET
Czternaście ma już lat, jak mi się zdaje.

MARTA
Czternaście moich zębów w zakład stawię
(Chociaż właściwie mam ich tylko cztery),
Że jeszcze nie ma. Rychłoż będzie święto

Piotra i Pawła?

PANI KAPULET
Za parę tygodni
Mniej więcej.

MARTA
Mniej czy więcej, czy okrągło,
Ale dopiero w wieczór na świętego
Piotra i Pawła skończy lat czternaście.
Ona z Zuzanką, Boże, zbaw nas grzesznych!
Były rówieśne. Zuzanka u Boga –
Byłże to anioł! ale jak mówiłam,
Julcia dopiero na świętego Piotra
I Pawła skończy spełna lat czternaście.
Tak, tak; pamiętam dobrze. Mija teraz
Rok jedenasty od trzęsienia ziemi;
Właśnie od piersi była odsądzona,
Spomiędzy wszystkich dni bożego roku
Tego jednego nigdy nie zapomnę.
Piołunem sobie wtedy pierś potarłam,
Siedząc na słońcu tuż pod gołębnikiem.
Państwo byliście tego dnia w Mantui.
A co? mam pamięć? Ale jak mówiłam,
Skoro pieszczotka moja na brodawce
Poczuła gorycz, trzeba było widzieć,
Jak się skrzywiła, szarpnęła od piersi;
Gołębnik za mną: skrzyp! a ja co żywo
Na równe nogi: hyc! nie myśląc czekać,
Aż mi kto każe. Upłynęło odtąd
Lat jedenaście. Umiała już wtedy

O własnej sile stać, co mówię, biegać,
Dyrdać. Dniem pierwej zbiła sobie czoło.
Mój mąż, świeć Panie jego duszy! podniósł
Z ziemi niebogę; był to wielki figlarz.
„Plackiem – rzekł – padasz teraz, a jak przyjdzie
Większy rozumek, to na wznak upadniesz,
Nieprawdaż, Julciu?" A ten mały łotrzyk
Jak mi Bóg miły! przestał zaraz krzyczeć
I odpowiedział: „tak". Chociażbym żyła
Tysiąc lat, nigdy tego nie zapomnę.
„Nieprawdaż, Julciu – rzekł – że padniesz wznak?"
A mały urwis odpowiedział: „tak".

PANI KAPULET
Dość tego, Marto, skończ już tę historię.
Proszę cię.

MARTA
Dobrze, miłościwa pani.
Ale nie mogę wstrzymać się od śmiechu,
Kiedy przypomnę sobie, jak to ona
Przestała krzyczeć i odpowiedziała:
„Tak". Miała jednak guz jak kurze jaje,
Siniec porządny i płakała gorzko;
Ale gdy mąż mój rzekł: „Plackiem dziś padasz,
A jak dorośniesz, to na wznak upadniesz,
Nieprawdaż Julciu?", tak i niebożątko
Zaraz ucichło i odrzekło: „tak".

JULIA
Ucichnij też i ty, proszę cię, nianiu.

MARTA
Jużem ucichła przecie. Pan Bóg z tobą!
Ty jesteś perłą ze wszystkich niemowląt,
Jakie karmiłam. Gdybym jeszcze mogła
Patrzeć na twoje zamęście!...

PANI KAPULET
Zamęście!
To jest punkt właśnie, o którym chcę mówić.
Powiedz mi, Julio, co myślisz i jakie
Są chęci twoje we względzie małżeństwa?

JULIA
O tym zaszczycie jeszcze nie myślałam.

MARTA
O tym zaszczycie! Gdybym nie ja była
Twą karmicielką, rzekłabym, żeś mądrość
Wyssała z mlekiem.

PANI KAPULET
Myślże o tym teraz.
Młodsze od ciebie dziewczęta z szlachetnych
Domów w Weronie wcześnie stan zmieniają;
Ja sama byłam już matką w tym wieku,
W którym tyś jeszcze panną. Krótko mówiąc,
Waleczny Parys stara się o ciebie.

MARTA
To mi kawaler! panniuniu, to brylant
Taki kawaler: chłopiec gdyby z wosku!

PANI KAPULET
Nie ma w Weronie równego mu kwiatu.

MARTA
Co to, to prawda: kwiat to, kwiat prawdziwy.

PANI KAPULET
Cóż, Julio? Będziesz mogła go kochać?
Dziś w wieczór ujrzysz go wśród naszych gości.
Wczytaj się w księgę jego lic, na których
Pióro piękności wypisało miłość;
Przypatrz się jego rysom, jak uroczo,
Zgodnie się schodzą z sobą i jednoczą;
A co w tej księdze wyda ci się mrocznym,
To w jego oczach stanieć się widocznym.
Do upięknienia tej, zaprawdę rzadkiej,
Edycji męża brak tylko okładki.
Roślina w ziemi, ryba w wodzie żyje;
Miło, gdy piękną treść piękny wierzch kryje;
I tym wspanialsza, tym więcej jest warta
Złota myśl w złotej oprawie zawarta.
Tak więc z nim wszystką jego właść posiędziesz
I w niczym sama ujmy mieć nie będziesz.

MARTA
Ujmy? Ba, owszem przyrost, boć to przecie
Zawżdy z mężczyzną przybywa kobiecie.

PANI KAPULET
Chceszże go? powiedz krótko, węzłowato.

JULIA
Zobaczę, jeśli patrzenia dość na to;
Nie głębiej jednak myślę w tę rzecz wglądać,
Jak tobie, pani, podoba się żądać.

Wchodzi SŁUŻĄCY.

SŁUŻĄCY
Pani, goście już przybyli; wieczerza zastawiona, czekają na panie, pytają o pannę Julię, przeklinają w kuchni panią Martę; słowem, niecierpliwość powszechna. Niech panie raczą pośpieszyć.

wychodzi

PANI KAPULET
Pójdź, Julio; w hrabi serce tam dygoce.

MARTA
Idź i po błogich dniach błogie znajdź noce.

Wychodzą.

Scena IV

Ulica. Wchodzą ROMEO, MERKUCJO i BENWOLIO w towarzystwie pięciu czy sześciu masek. Ludzie z pochodniami i inne osoby.

ROMEO
Mamyż przy wejściu z przemową wystąpić
Czy też po prostu wejść?

BENWOLIO

Wyszły już z mody
Te ceremonie; nie będziemy z sobą
Wiedli Kupida z opaską na skroni,
Łuk malowany z gontu niosącego
I straszącego dziewczęta jak ptaki,
Ani też owych prawili oracji,
Mdło za suflerem cedzonych na wstępie.
Niech sobie o nas pomyślą, co zechcą;
Wejdziem, pokręcim się i znikniem potem.

ROMEO
Kręćcie się, kiedy chcecie, jam do tego
Dziś niesposobny.

MERKUCJO
Kochany Romeo,
Musisz potańczyć także.

ROMEO
Nie, doprawdy.
Wy macie lekkie trzewiki, to tańczcie;
Mnie ołów serce tłoczy, ledwie mogę
Ruszyć się z miejsca.

MERKUCJO
Zakochany jesteś;
Pożycz strzelistych od Kupida skrzydeł
I wznieś się nimi nad poziomą sferę.

ROMEO
Nie mnie, tkniętemu srodze jego strzałą,

Strzeliście wzbijać się na jego skrzydłach;
Nie mnie się wznosić nad poziom, co nosząc
Brzemię miłości, na poziom upadam.

MERKUCJO
A gdybyś upadł z nią, ją byś obrzemił.
Tak delikatną rzecz przygniótłbyś srodze.

ROMEO
Nazywasz miłość rzeczą delikatną?
Zbyt, owszem, twarda, szorstka i koląca.

MERKUCJO
Twardali dla cię, bądź i dla niej twardy;
Kol ją, gdy kole, a zwalisz ją łatwo.
Hola! podajcie mi na twarz pokrowiec!
Maskę na maskę!
wkłada maskę

Niechaj sobie teraz
Ciekawe oko nicuje mą szpetność!
Ta larwa za mnie będzie się rumienić.

BENWOLIO
Idźmy, panowie; zadzwońmy, a potem
Ostro już tylko polećmy się nogom.

ROMEO
Niech trzpioty łechcą nieczułą posadzkę!
Pochodni dla mnie! bom ja dziś skazany,
Jak ów pachołek, co świeci swej pani,
Stać nieruchomie i martwym być widzem.

MERKUCJO
Stój, jak chcesz, byleś tylko nie stał o to,
Co cię tak martwi, a w czym (z całym winnym
Uszanowaniem dla twojej miłości),
Jak w błocie, widzę, po uszy zagrzązłeś.
Nuże, nie palmy świec w dzień.

ROMEO
Palmyż teraz.
Bo noc jest.

MERKUCJO
Mniemam, panie, że czas tracąc
Zarówno psujem świece bez potrzeby,
Jak w dzień je paląc. Przyjmij tę uwagę;
Bo w niej pięć razy więcej jest logiki
Niż w naszych pięciu zmysłach.

ROMEO
Uważamy
Za rzecz stosowną pójść tam na ten festyn,
Chociaż logiki w tym nie ma.

MERKUCJO
Dlaczego?

ROMEO
Miałem tej nocy marzenie.

MERKUCJO
Ja także.

ROMEO
Cóż ci się śniło?

MERKUCJO
To, że marzyciele
Najczęściej zwykli kłamać.

ROMEO
Przez sen w łóżku,
Gdy w gruncie marzą o rzeczach prawdziwych.

MERKUCJO
Snadź się królowa Mab widziała z tobą;
Ta, co to babi wieszczkom i w postaci
Kobietki mało co większej niż agat
Na wskazującym palcu aldermana,
Ciągniona cugiem drobniuchnych atomów,
Tuż, tuż śpiącemu przeciąga pod nosem.
Szprychy jej wozu z długich nóg pajęczych,
Osłona z lśniących skrzydełek szarańczy;
Sprzężaj z plecionych nitek pajęczyny;
Lejce z wilgotnych księżyca promyków;
Bicz z cienkiej żyłki na świerszcza szkielecie;
A jej forszpanem mała, szara muszka
Przez pół tak wielka jak ów krągły owad,
Co siedzi w palcu leniwej dziewczyny;
Wozem zaś próżny laskowy orzeszek;
Dzieło wiewiórki lub majstra robaka,
Tych z dawien dawna akredytowanych
Stelmachów wieszczek. W takich to przyborach
Co noc harcują po głowach kochanków,

Którzy natenczas marzą o miłości;
Albo po giętkich kolanach dworaków,
Którzy natenczas o ukłonach marzą;
Albo po chudych palcach adwokatów,
Którym się wtedy roją honoraria;
Albo po ustach romansowych damul,
Którym się wtedy marzą pocałunki;
Często atoli Mab na te ostatnie
Zsyła przedwczesne zmarszczki, gdy ich oddech
Za bardzo znajdzie cukrem przesycony.
Czasem też wjeżdża na nos dworakowi:
Wtedy śnią mu się nowe łaski pańskie;
Czasem i księdza plebana odwiedzi,
Gdy ten spokojnie drzemie, i ogonem
Dziesięcinnego wieprza w nos go łechce:
Wtedy mu nowe śnią się beneficja
Czasem wkłusuje na kark żołnierzowi:
Ten wtedy marzy o cięciach i pchnięciach,
O szturmach, breszach , o hiszpańskich klingach
Czy o pucharach, co mają pięć sążni;
Wtem mu zatrąbi w ucho: nasz bohater
Truchleje, zrywa się, klnąc zmawia pacierz
I znów zasypia. Taka jest Mab: ona,
Ona to w nocy zlepia grzywy koniom
I włos ich gładki w szpetne kudły zbija,
Które rozczesać niebezpiecznie; ona
Jest ową zmorą, co na wznak leżące
Dziewczęta dusi i wcześnie je uczy
Dźwigać ciężary, by się z czasem mogły
Zawołanymi stać gospodyniami.

Ona to, ona...

ROMEO
Skończ już, skończ, Merkucjo,
Prawisz o niczym.

MERKUCJO
Prawię o marzeniach,
Które w istocie niczym innym nie są
Jak wylęgłymi w chorobliwym mózgu
Dziećmi fantazji; ta zaś jest pierwiastku
Tak subtelnego właśnie jak powietrze;
Bardziej niestała niż wiatr, który już to
Mroźną całuje północ, już to z wstrętem
Rzuca ją, dążąc w objęcia południa.

BENWOLIO
Coś ten wiatr zawiał, zdaje się, i na nas,
Wieczerza stoi, spóźnimy się na nią.

ROMEO
Boję się, czyli nie przyjdziem za wcześnie;
Bo moja dusza przeczuwa, że jakieś
Nieszczęście, jeszcze wpośród gwiazd wiszące,
Złowrogi bieg swój rozpocznie od daty
Uciech tej nocy i kres zamkniętego
W mej piersi, zbyt już nieznośnego, życia
Przyśpieszy jakimś strasznym śmierci ciosem.
Lecz niech Ten, który ma ster mój w swym ręku,
Kieruje moim żaglem! Dalej! Idźmy!

BENWOLIO
Uderzcie w bębny!
Wychodzą.

Scena V

Sala w domu Kapuletów. Wchodzą muzykanci i słudzy.

PIERWSZY SŁUGA
Gdzie Potpan? Czemu nie pomaga sprzątać? Gęsi mu paść, nie służyć.

DRUGI SŁUGA
Tak to, kiedy ważne obowiązki lokaja powierzają ludziom złej maniery; na diabła się to zdało.

PIERWSZY SŁUGA
Powynoście stołki! usuńcie na bok bufet! Pozbierajcie srebra! Schowaj no tam dla mnie, braciszku, kawałek marcepana i szepnij na ucho odźwiernemu, żeby wpuścił Zuzannę Grindstone i Nelly; jak mię kochasz! Antoni! Potpan!

DRUGI SŁUGA
Dobrze, chłopcze, gotowe.

PIERWSZY SŁUGA
Wołają was, czekają na was i niecierpliwią się w wielkiej sali.

TRZECI SŁUGA
Nie możemy być tu i tam razem. Dalej, chłopcy! pohulajmyż dzisiaj! Kto umie czekać, wszystkiego się doczeka.

Oddalają się. KAPULET i inni wchodzą z gośćmi i maskami.

KAPULET
Witaj, cna młodzi! Wolne od nagniotków
Damy rachują na waszą ruchawość,
Śliczne panienki, któraż z was odmówi
Stanąć do tańca? O takiej wręcz powiem,
Że ma nagniotki. A co? Tom was zażył!
Dalej, panowie! I ja kiedyś także
Maskę nosiłem i umiałem szeptać
W ucho pięknościom jedwabne powieści,
Co szły do serca; przeszło to już, przeszło.
Nuże, panowie! Grajki, zaczynajcie!
Miejsca! rozstąpmy się! dalej, dziewczęta!
Muzyka gra. Młodzież tańczy.

Hej! więcej światła! Wynieście te stoły!
I zgaście ogień, bo zbyt już gorąco.
Siadajże, siadaj, bracie Kapulecie!
Dla nas dwóch czasy pląsów już minęły.
Jakże to dawno byliśmy obydwaj
Po raz ostatni w maskach?

DRUGI KAPULET
Będzie temu
Lat ze trzydzieści.

KAPULET
Co? Co! Nie tak dawno
Było to, pomnę, na godach Lucencja;
Na te Zielone Świątki, da Bóg dożyć,
Będzie dwadzieścia pięć lat.

DRUGI KAPULET
Dawniej, dawniej,
Wszak już syn jego jest trzydziestoletni.

KAPULET
Co mi waść prawisz? Przede dwoma laty
Syn jego nie był jeszcze pełnoletni.

ROMEO
do jednego z sług

Co to za dama, co w tej chwili tańczy

Z tym kawalerem?

SŁUGA
Nie wiem, jaśnie panie.

ROMEO
Ona zawstydza świec jarzących blaski;
Piękność jej wisi u nocnej opaski
Jak drogi klejnot u uszu Etiopa.
Nie tknęła ziemi wytworniejsza stopa.
Jak śnieżny gołąb wśród kawek tak ona
Świeci wśród swoich towarzyszek grona.
Zaraz po tańcu przybliżę się do niej
I dłoń mą uczczę dotknięciem jej dłoni.
Kochałżem dotąd? O! zaprzecz, mój wzroku!
Boś jeszcze nie znał równego uroku.

TYBALT

Sądząc po głosie, z Montekich to któryś.
Daj no mi rapir, chłopcze. Jak się waży
Ten łotr tu wchodzić i kłamaną larwą
Szyderczo naszej urągać zabawie?
Na krew szlachetną, co mi wzdyma serce,
Nie będzie grzechu, jeśli go uśmiercę.

KAPULET
Tybalcie, co ci to? Czego się zżymasz?

TYBALT
Ujmy tej, stryju, pewno nie wytrzymasz:
Jeden z Montekich, twych śmiertelnych wrogów,
Śmie tu znieważać gościnność twych progów.

KAPULET
Czyż to Romeo?

TYBALT
Tak, ten to nikczemnik.

KAPULET
Daj mu waść pokój, nie wychodzi przecie
Z granic wytkniętych dobrym wychowaniem
I prawdę mówiąc, cała go Werona
Ma za młodzieńca pełnego przymiotów;
Nie chciałbym za nic w świecie w moim domu
Czynić mu krzywdy. Uspokój się zatem,
Miły synowcze, nie zważaj na niego,
Taka ma wola; jeśli ją szanujesz,
Okaż uprzejmość i spędź precz z oblicza

Ten mars niezgodny z weselem tej doby.

TYBALT
Taki gość w domu nabawia choroby;
Nie ścierpię go tu.

KAPULET
Chcę go mieć cierpianym.
Cóż to, zuchwalcze? Mówię, że chcę! Cóż to?
Czy ja tu jestem, czy waść jesteś panem?
Waść go tu nie chcesz ścierpieć! Boże odpuść!
Waść mi chcesz gości porozpędzać? kołki
Na łbie mi strugać? przewodzić w mym domu?

TYBALT
Stryju, to hańba!

KAPULET
Cicho! burdą jesteś.
Z tą porywczością doigrasz się waszmość.
Zawsze mi musisz się sprzeciwiać! – Brawo,
Kochana młodzi! – Urwipołeć z waści!
Siedź cicho albo... Hola! Więcej światła! –
Ja cię uciszę. Patrz go! – Żwawo, chłopcy!

TYBALT
Gniew dobrowolny z flegmą przymuszoną
Na krzyż się schodząc wstrząsają mi łono.
Muszę ustąpić; wkrótce się atoli
W gorzką żółć zmieni ta słodycz wbrew woli.
oddala się

ROMEO
do JULII

Jeśli dłoń moja, co tę świętość trzyma,
Bluźni dotknięciem: zuchwalstwo takowe
Odpokutować usta me gotowe
Pocałowaniem pobożnym pielgrzyma.

JULIA
do ROMEA

Mości pielgrzymie, bluźnisz swojej dłoni,
Która nie grzeszy zdrożnym dotykaniem;
Jestli ujęcie rąk pocałowaniem,
Nikt go ze świętych pielgrzymom nie broni.

ROMEO
jak pierwej

Nie mają święci ust tak jak pielgrzymi?

JULIA
jak pierwej

Mają ku modłom lub kornej podzięce.

ROMEO
Niechże ich usta czynią to co ręce;
Moje się modlą, przyjm modły ich, przyjmij.

JULIA
Niewzruszonymi pozostają święci,
Choć gwoli modłów niewzbronne ich chęci.

ROMEO
Ziść więc cel moich, stojąc niewzruszenie.
I z ust swych moim daj wziąć rozgrzeszenie.
całuje ją

JULIA
Moje więc teraz obciąża grzech zdjęty.

ROMEO
Z mych ust? O! grzechu, zbyt pełen ponęty!
Niechże go nazad rozgrzeszony zdejmie!
Pozwól.
całuje ją znowu

JULIA
Jak z książki całujesz pielgrzymie.

MARTA
Panienko, jejmość pani matka prosi.

ROMEO
Któż jest jej matką?

MARTA
Jej matką? Bajbardzo!
Nikt inny, jeno pani tego domu;
I dobra pani, mądra a cnotliwa.
Ja byłam mamką tej, coś z nią pan mówił.
Smaczny by kąsek miał, kto by ją złowił.

ROMEO
A więc Kapulet! O dolo zbyt sroga!

Życie me jest więc w ręku mego wroga.

BENWOLIO
Wychodźmy, wieczór dobiega już końca.

ROMEO
Niestety! z wschodem dla mnie zachód słońca.

KAPULET
do rozchodzących się gości

Ejże, panowie, pozostańcie jeszcze;
Mają nam wkrótce dać małą przekąskę.
Chcecie koniecznie? Muszę więc ustąpić.
Dzięki wam, mili panowie i panie.
Dobranoc. Światła! Idźmyż spać.
do DRUGIEGO KAPULETA

Braciszku,
Zapóźniliśmy się; idę wypocząć.

Wychodzą wszyscy prócz JULII i MARTY.

JULIA
Czy nie wiesz, nianiu, kto to jest ten pan?

MARTA
Ten, tu?
To syn starego Tyberia.

JULIA
A tamten,
Co właśnie ku drzwiom zmierza?

MARTA
To podobno
Młody Petrycy.

JULIA
A ów, tam na prawo,
Co nie chciał tańczyć?

MARTA
Nie wiem.

JULIA
Spytaj, proszę,
Jak się nazywa. Jeżeli żonaty,
Całun mnie czeka zamiast ślubnej szaty.

MARTA
Zwie się Romeo, jest z rodu Montekich,
Synem waszego największego wroga.

JULIA
Jako obcego za wcześnie ujrzałam!
Jako lubego za późno poznałam!
Dziwny miłości traf się na mnie iści,
Że muszę kochać przedmiot nienawiści.

MARTA
Co to jest? co to takiego?

JULIA
To wiersze,
Których mię jeden tancerz dziś nauczył.

MARTA

Pójdź spać, waćpanna.

Głos za sceną: „Julio!”

Dalej! dalej!

Wołają pannę i pusto już w sali.

Wychodzą.

AKT DRUGI

Prolog

CHÓR

Dawna namiętność już w całunach leży,
W jej miejscu władnie siła żądzy nowej;
Piękną przestała być przy Julii świeżej
Piękność, dla której umrzeć był gotowy.

Dziś jest Romeo kochany i kocha,
W oczach obojga żar jednaki płonie;
Lecz on, w niej wroga przypuszczając, szlocha,
A ona miłość z wędki grozy chłonie.

On się nie zbliży i przed nią nie złoży
Przysiąg serdecznych, uważan za wroga;
I jej, choć w łonie namiętność się sroży,
Zejścia się z lubym zamkniętą jest droga.

Lecz w żądzy siła: po wielkich katuszach
Wielką im radość czas zgotuje w duszach.

(Przełożył Jan Kasprowicz)

Scena I

Pusty plac przytykający do ogrodu Kapuletów. Wchodzi ROMEO.

ROMEO
Mamże iść dalej, gdy tu moje serce?
Cofnij się, ziemio, wynajdź sobie centrum!
wchodzi na mur i spuszcza się do ogrodu

Wchodzą MERKUCJO i BENWOLIO.

BENWOLIO
Romeo! bracie! Romeo!

MERKUCJO
Ma rozum;
Powietrze chłodne, więc dyrnął do łóżka.

BENWOLIO
Pobiegł tą drogą i przelazł przez parkan.
Wołaj, Merkucjo!

MERKUCJO
Użyję nań zaklęć;
Romeo! gachu! cietrzewiu! wariacie!
Ukaż się w lotnej postaci westchnienia,
Powiedz choć jeden wiersz, a dość mi będzie;
Jęknij: ach! połącz w rym: kochać i szlochać;
Szepnij Wenerze jakie piękne słówko;
Daj jaki nowy epitet ślepemu
Jej synalkowi, co tak celnie strzelał
Za owych czasów, gdy król Kofetua
W zaloty chodził do córki żebraczej.
Nie słucha; ani piśnie, ani trunie
Zdechł robak, muszę zakląć go inaczej.
Klnę cię na żywe oczy Rozaliny,

Na jej wysokie czoło, krasne usta,
Wysmukłe nóżki i toczone biodra
Z przyległościami, abyś się przed nami
W właściwej sobie postaci ukazał.

BENWOLIO
Gniewać się będzie, jeśli cię usłyszy.

MERKUCJO
Co się ma gniewać? Mógłby się rozgniewać,
Gdyby za sprawą mojego zaklęcia
W zaczarowane koło jego pani
Inny duch wkroczył i stał tam dopóty,
Dopóki by go nie zmogła: to byłby
Powód do uraz; moja inwokacja
Jest przyjacielska i godziwa razem,
Bo wywołuje w imię jego pani
Jego jedynie naturalną postać.

BENWOLIO
Pójdź! skrył się owdzie pomiędzy drzewami,
By się tam zbratał z tajemniczą nocą –
Ślepym w miłości ciemność jest najmilsza.

MERKUCJO
Możeż w cel trafić miłość będąc ślepą?
Teraz usiądzie sobie pod jabłonką
I będzie wzdychał, by jego kochanka
Była owocem, który młode panny,
Kiedy są same – nazywają figą.
Oby, Romeo, była, oby była

Taką otwartą figą, a ty chłopcze,
Obyś był gruszką! Dobranoc, Romeo!
Idę lec w moim łóżku za kotarą,
Bo to polowe tu dla mnie za chłodne.
Czy idziesz także?

BENWOLIO
Idę; próżno szukać
Takiego, co być nie chce znaleziony.
Wychodzą.

Scena I

Ogród Kapuletów. Wchodzi ROMEO.

ROMEO
Drwi z blizn, kto nigdy nie doświadczył rany.
JULIA ukazuje się w oknie.

Lecz cicho! Co za blask strzelił tam z okna!
Ono jest wschodem, a Julia jest słońcem!
Wnijdź, cudne słońce, zgładź zazdrosną lunę,
Która aż zbladła z gniewu, że ty jesteś
Od niej piękniejsza; o, jeśli zazdrosna,
Nie bądź jej służką! Jej szatkę zieloną
I bladą noszą jeno głupcy. Zrzuć ją!
To moja pani, to moja kochanka!
O! gdyby mogła wiedzieć, czym jest dla mnie!
Przemawia, chociaż nic nie mówi; cóż stąd?
Jej oczy mówią, oczom więc odpowiem.

Za śmiały jestem; mówią, lecz nie do mnie.
Dwie najjaśniejsze, najpiękniejsze gwiazdy
Z całego nieba, gdzie indziej zajęte,
Prosiły oczu jej, aby zastępczo
Stały w ich sferach, dopóki nie wrócą.
Lecz choćby oczy jej były na niebie,
A owe gwiazdy w oprawie jej oczu:
Blask jej oblicza zawstydziłby gwiazdy
Jak zorza lampę; gdyby zaś jej oczy
Wśród eterycznej zabłysły przezroczy,
Ptaki ocknęłyby się i śpiewały,
Myśląc, że to już nie noc, lecz dzień biały.
Patrz, jak na dłoni smutnie wsparła liczko!
O! gdybym mógł być tylko rękawiczką,
Co tę dłoń kryje!

JULIA
Ach!

ROMEO
Cicho! coś mówi.
O! mów, mów dalej, uroczy aniele;
Bo ty mi w noc tę tak wspaniale świecisz
Jak lotny goniec niebios rozwartemu
Od podziwienia oku śmiertelników,
Które się wlepia w niego, aby patrzeć,
Jak on po ciężkich chmurach się przesuwa
I po powietrznej żegluje przestrzeni.

JULIA
Romeo! Czemuż ty jesteś Romeo!

Wyrzecz się swego rodu, rzuć tę nazwę!
Lub jeśli tego nie możesz uczynić,
To przysiąż wiernym być mojej miłości,
A ja przestanę być z krwi Kapuletów.

ROMEO
Mamże przemówić czy też słuchać dalej?

JULIA
Nazwa twa tylko jest mi nieprzyjazna,
Boś ty w istocie nie Montekim dla mnie.
Jestże Monteki choćby tylko ręką,
Ramieniem, twarzą, zgoła jakąkolwiek
Częścią człowieka? O! weź inną nazwę!
Czymże jest nazwa? To, co zowiem różą,
Pod inną nazwą równie by pachniało;
Tak i Romeo bez nazwy Romea
Przecież by całą swą wartość zatrzymał.
Romeo! porzuć tę nazwę, a w zamian
Za to, co nawet cząstką ciebie nie jest,
Weź mię, ach! całą!

ROMEO
Biorę cię za słowo:
Zwij mię kochankiem, a krzyżmo chrztu tego
Sprawi, że odtąd nie będę Romeem.

JULIA
Ktoś ty jest, co się nocą osłaniając,
Podchodzisz moją samotność?

ROMEO
Z nazwiska
Nie mógłbym tobie powiedzieć, kto jestem;
Nazwisko moje jest mi nienawistne,
Bo jest, o! święta, nieprzyjazne tobie;
Zdarłbym je, gdybym miał je napisane.

JULIA
Jeszcze me ucho stu słów nie wypiło
Z tych ust, a przecież dźwięk już ich mi znany.
Jest żeś Romeo, mów? jest żeś Monteki?

ROMEO
Nie jestem ani jednym, ani drugim,
Jednoli z dwojga jest niemiłe tobie.

JULIA
Jak żeś tu przyszedł, powiedz, i dlaczego?
Mur jest wysoki i trudny do przejścia,
A miejsce zgubne; gdyby cię kto z moich
Krewnych tu zastał...

ROMEO
Na skrzydłach miłości
Lekko, bezpiecznie mur ten przesadziłem,
Bo miłość nie ma żadnych tam i granic;
A co potrafi, na to się i waży;
Krewni więc twoi nie trwożą mię wcale.

JULIA
Zabiliby cię, gdyby cię ujrzeli.

ROMEO
Ach! więcej groźby leży w oczach twoich
Niż w ich dwudziestu mieczach; patrz łaskawie,
A będę silny przeciw ich gniewowi.

JULIA
Na Boga! niech cię oni tu nie ujrzą!

ROMEO
Ciemny płaszcz nocy skryje mię przed nimi.
Lecz niech mię znajdą, jeśli ty mię kochasz.
Lepszy kres życia skutkiem ich niechęci
Niż przedłużony zgon w braku twych uczuć.

JULIA
Kto ci dopomógł znaleźć to ustronie?

ROMEO
Miłość, co mi go doradziła szukać;
Ona mi instynkt, ja jej oczy dałem.
Nie jestem sternik, gdybyś jednak była
Równie daleko jak ów brzeg, którego
Morze najdalsze podmywa krawędzie,
Śmiało po taki klejnot bym popłynął.

JULIA
Gdyby nie ciemność, co mi twarz maskuje,
Widziałbyś na niej rozlany rumieniec
Po tym, co z ust mych słyszałeś tej nocy.
Rada bym form się trzymać, rada cofnąć
To, co wyrzekłam; ale precz, udanie!

Czy ty mię kochasz? Wiem, że powiesz: tak jest;
I jać uwierzę; mimo przysiąg jednak
Możesz mię zawieść. Z wiarołomstwa mężczyzn
Śmieje się, mówią, Jowisz. O! Romeo!
Jeśli mię kochasz, wyrzecz to rzetelnie;
Lecz jeśli masz mię za podbój zbyt łatwy,
To zmarszczę czoło i przewrotną będę,
I na miłosne twoje oświadczenia
Powiem: nie, w innym razie za nic w świecie.
Za czuła może jestem, o! Monteki,
Stąd możesz sądzić me obejście płochym;
Ufaj mi jednak, będę ja wierniejsza
Od tych, co bieglej umieją się drożyć.
Byłabym ja się była, prawdę mówiąc,
Także drożyła, gdybyś był tajnego
Głosu miłości mojej nie podchwycił.
Nie wiń mię przeto ani też przypisuj
Płochości tego wylania mych uczuć,
Które zdradziła noc ciemna.

ROMEO
O! Julio,
Przysięgam na ten księżyc, co wspaniale
Powleka srebrem tamtych drzew wierzchołki...

JULIA
O! nie przysięgaj na księżyc, bo księżyc
Co tydzień zmienia kształt swej pięknej tarczy;
I miłość twoja po takiej przysiędze
Mogłaby również zmienną się okazać.

ROMEO
Na cóż mam przysiąc?

JULIA
Nie przysięgaj wcale;
Lub wreszcie przysiąż na samego siebie:
Na ten uroczy przedmiot mych uwielbień,
To ci uwierzę.

ROMEO
Jeśli szczera miłość
Mojego serca...

JULIA
Daj pokój przysięgom.
Lubo się cieszę z twojej obecności,
Te nocne śluby nie cieszą mnie jakoś,
Za nagłe one są, za nierozważne,
Podobne niby do blasku, co znika,
Nim człowiek zdąży powiedzieć: „Błysnęło".
Dobranoc, luby! Oby nam ten wonny
Miłości pączek przyniósł kwiat niepłonny!
Bądź zdrów! i zaśnij z tak błogim spokojem,
Jaki, z twej łaski, czuję w sercu mojem.

ROMEO
Także mam odejść nie zaspokojony?

JULIA
Jakiegoż więcej chcesz zaspokojenia?

ROMEO

Zamiany twoich zapewnień za moje.

JULIA
Jużem ci dała je, nimeś zażądał;
Rada bym jednak one mieć na powrót.

ROMEO
Chciałaż byś cofnąć je? Dlaczego? luba!

JULIA
Ażebym mogła oddać ci je znowu.
A przecież jest to żądanie zbyteczne;
Bo moja miłość równie jest głęboka
Jak morze, równie jak ono bez końca;
Im więcej ci jej udzielam, tym więcej
Czuję jej w sercu.

Słychać w pokojach głos MARTY.

Wołają mię. – Zaraz.
Bądź zdrów, kochanku drogi! – Zaraz, zaraz.
– Najmilszy, pomnij być stałym! – Zaczekaj,
Zaczekaj trochę, powrócę za chwilę.

wychodzi

ROMEO
Błogosławiona, o! błogosławiona
Po dwakroć nocy! Ale czy to wszystko,
Dziejąc się w nocy nie jest marą tylko?
Co tak lubego możeż być istotnym?

JULIA

ukazując się znowu

Jeszcze słów parę, a potem dobranoc,
Drogi Romeo! jeśli twoja skłonność
Jest prawą, twoim zamiarem małżeństwo:
To mię uwiadom jutro przez osobę,
Którą do ciebie przyślę, gdzie i kiedy
Zechcesz dopełnić obrzędu; a wtedy
Całą mą przyszłość u nóg twoich złożę
I w świat za tobą pójdę w imię boże.

MARTA
za sceną
Panienko!

JULIA
Idę. – Lecz jeśli mię zwodzisz,
To cię zaklinam...

MARTA
za sceną
Julciu!

JULIA
Zaraz idę.
– Jeśli mię zwodzisz, o! to cię zaklinam,
Skończ te zabiegi i zostaw mię żalom.
– Jutro więc przyślę.

ROMEO
Jak pragnę zbawienia...

JULIA
Po tysiąc razy dobranoc.

odchodzi

ROMEO
Po tysiąc
Razy niedobra tam, gdzie ty nie świecisz.
Jak żak, gdy rzuca książkę, tak kochanek
Do celu swego pospiesza wesoły;
A gdy nadejdzie z kochanką rozstanek,
Wlecze się smutnie, jak ów żak do szkoły.
odchodzi

JULIA
ukazuje się znowu
Pst! pst! Romeo! O, gdybym mieć mogła
Głos sokolnika, by tego maiża
Nazad przywołać! Przymus jest ochrypły,
Nie może głośno mówić, gdyby nie to,
Wstrząsłabym góry, gdzie się echo kryje,
I głos bym jego zrobiła chrapliwszy
Niż mój od rozbrzmień imienia Romeo!

ROMEO
Moja to dusza dzwoni imię moje,
Jak srebrny dźwięk ma nocą głos kochanki!
I jestże słodsza muzyka na świecie?

JULIA
Romeo!

ROMEO
Luba!

JULIA
O której godzinie
Jutro mam przysłać?

ROMEO
O dziewiątej.

JULIA
Dobrze.
Dwudziestoletni to termin. Nie pomnę,
Po com tu ciebie znowu przywołała.

ROMEO
Pozwól mi czekać, aż sobie przypomnisz.

JULIA
Zapomnę znowu, po co czekasz, pomnąc
O twojej tylko lubej obecności.

ROMEO
A ja wciąż czekać będę, abyś ciągle
Zapominała, sam zapominając,
Że mam gdzie inny dom jak tutaj.

JULIA
Wkrótce
Dnieć będzie: rada bym, żebyś już odszedł;
Nie dalej jednak jak ów biedny ptaszek,
Co go swawolna dziewka z rąk wypuszcza
I wnet, zazdroszcząc mu krótkiej wolności,
Jak niewolnika trzymanego w więzach
Jedwabnym sznurkiem przyciąga na powrót.

ROMEO
Chciałbym być biednym ptaszkiem w twoim ręku.

JULIA
O! ja bym zbytkiem pieszczot cię zabiła.
Dobranoc, luby! jeszcze raz dobranoc!
Smutek rozstania tak bardzo jest miły,
Że by dobranoc wciąż usta mówiły.
odchodzi

ROMEO
Sen na twe oczy, pokój w pierś niech spłynie;
Obym był nimi w tej błogiej godzinie!
Spieszę do ojca Laurentego celi,
On mi pomocy i rady udzieli.
wychodzi

Scena III

Cela Ojca Laurentego. Wchodzi OJCIEC LAURENTY z koszykiem w ręku.

OJCIEC LAURENTY
Szary poranek spędza mrok ponury
Pasami światła znacząc wschodnie mury
I noc się na bok chyli jak pijana
Z dróg dnia ubitych kołami Tytana.
Nim oko słońca pełnym blaskiem strzeli,
Rosę wypije i świat rozweseli,

Muszę uzbierać w ten koszyk z sitowia
Roślin tak zbawczych, jak zgubnych dla zdrowia,
Ziemia jest matką natury i grobem,
Grzebie i życia obdziela zasobem.
I mnóstwo dzieci jej łona widzimy
Ciągnących pokarm z jej piersi rodzimej;
Niejedno w skutkach swoich wyśmienite,
Każde do czegoś, wszystko rozmaite.
O! moc to pełna cudów, co się mieści
W sokach ziół, krzewów, w martwej kruszców treści!
Bo nie ma rzeczy tak podłych na ziemi,
Aby nie mogły stać się przydatnemi;
Ni tak przydatnych, aby zamiast służyć
Nie zaszkodziły pod wpływem nadużyć.
Wszakże i cnota może zajść w bezdroże,
A błąd się czynem uszlachetnić może.
W mdłym kwiatku, w ziółku jednym i tym samem
Ma nieraz miejsce jad wespół z balsamem,
Co zmysły razi i to, co im sprzyja,
Bo jego zapach rzeźwi; smak zabija.
Podobnie sprzeczna i w człowieku gości
Dwójca pierwiastków: dobroci i złości;
A kędy górę gorsza weźmie strona,
Tam śmierć przychodzi i roślina kona.

Wchodzi ROMEO.

ROMEO
Dzień dobry, ojcze mój.

OJCIEC LAURENTY
Benedicite!

Cóż to za ranny głos tak mnie pozdrawia!
Młody mój synu, zły to znak, kto łoże
Próżne zostawia o tak wczesnej porze.
Troska odbywa straż w oczach starego,
A sen tych mija, których troski strzegą;
Ale gdzie czerstwa, wolna od kłopotów
Młódź głowę złoży, sen zawżdy przyjść gotów.
To więc tak ranne tu przybycie zdradza
Jakiś niepokój, któremu snu władza
Ulec musiała. Czy tylko się kładłeś?
Możeś do łóżka i nie zajrzał?

ROMEO
Zgadłeś;
Milej niż w łóżku przeszły mi godziny.

OJCIEC LAURENTY
Grzeszniku, pewnieś był u Rozaliny.

ROMEO
U Rozaliny? Nie, ojcze; to imię
W pamięci mojej wiecznym snem już drzemie.

OJCIEC LAURENTY
Brawo, mój synu! Lecz gdzieżeś to bywał?

ROMEO
Zaraz ci powiem: próżno byś zgadywał;
Byłem na balu w domu mego wroga,
Gdziem został ranny, lecz zbójczyni sroga
Czuje cios wzajem przeze mnie zadany,

Tak że na nasze obopólne rany
Święty wpływ tylko twej, ojcze, opieki
Poradzić zdoła i dać zbawcze leki.
Po chrześcijańsku, jak widzisz, przemawiam,
Skoro się nawet za mym wrogiem wstawiam.

OJCIEC LAURENTY
Mów jaśniej, synu; zagadkowa spowiedź,
Dwuznaczną także znajduje odpowiedź.

ROMEO
Dowiedz się zatem, że anioł kobieta,
Którąm ukochał, jest z krwi Kapuleta.
Jego to dziecko i nadzieja cała;
Jak ja ją, tak mnie ona ukochała.
I do jedności, która nas już splata,
Brakuje tylko, byś nas ty dla świata
Stułą zjednoczył. Gdzie, o jakiej dobie
Dozgonną miłość przysięgliśmy sobie,
Powiem ci idąc, czcigodny kapłanie;
Błagam cię tylko, niech się to dziś stanie.

OJCIEC LAURENTY
Święty Franciszku! Cóż to za przemiana!
Toż Rozalina, owa ukochana,
Niczym już dla cię? Miłość więc młodzieży
W oczach jedynie, a nie w sercu leży?
Jezus! Maryja! Ileż to solanki
Ściekło z twych oczu dla owej kochanki!
I nadaremnie, bowiem twe zapały
Wciąż zalewane, wciąż się powiększały.

Jeszcze twych westchnień nie rozwiał Fawoni;
Jeszcze twój dawny jęk w uszach mi dzwoni,
I na twych licach, bladością pokrytych,
Widoczny jeszcze ślad łez nie obmytych,
Wszystko, coś cierpiał z miłosnej przyczyny,
Cierpiałeś tylko gwoli Rozaliny.
A teraz! nie dziw, gdy mdła płeć upadnie,
Kiedy mężczyźni szwankują tak snadnie.

ROMEO
Gdym kochał tamtą, takżeś nie pochwalał.

OJCIEC LAURENTY
Nie, żeś ją kochał, lecz żeś za nią szalał.

ROMEO
Pogrześć tą miłość kazałeś.

OJCIEC LAURENTY
Nie w grobie
By tę pochować, a inną wziąć sobie.

ROMEO
Nie łaj mnie, proszę; ta, co mi dziś luba,
Miłość mą płaci miłością cheruba;
Z tamtą inaczej było.

OJCIEC LAURENTY
Bo odgadła,
Że w rzeczach serca nie znasz abecadła,
Tylko z rutyny czytasz. Pójdź, wietrzniku;
Do sankcji tego nowego wybryku

Jeden i jeden tylko wzgląd mię skłania:
To jest, że może z tego zawiązania
Wyniknie węzeł, który wasze rody
Zawistne złączy w piękny łańcuch zgody.

ROMEO
O! prędzej! pilno mi!

OJCIEC LAURENTY
Festina lente!
Zdradne są kroki za śpiesznie podjęte.
Wychodzą.

Scena IV

Ulica. Wchodzą MERKUCJO i BENWOLIO.

MERKUCJO
Gdzież, u diabła, ugrzązł Romeo! Czy był tej nocy w domu?

BENWOLIO
Nie w domu swego ojca przynajmniej; mówiłem z jego służącym.

MERKUCJO
Ta blada sekutnica Rozalina
Na wariata go wnet wykieruje.

BENWOLIO
Tybalt, starego Kapuleta krewny,
Pisał do niego list.

MERKUCJO
Z wyzwaniem, ręczę.

BENWOLIO
Romeo mu odpowie.

MERKUCJO
Każdy człowiek
Piśmienny może na list odpowiedzieć.

BENWOLIO
On mu odpowie odpowiednio, jak człowiek wyzwany.

MERKUCJO
Biedny Romeo! Już trup z niego! Zakłuty czarnymi oczyma białogłowy; przestrzelony na wskroś uszu romansową piosnką; ugodzony w sam rdzeń serca postrzałem ślepego malca łucznika; potrafiż on Tybaltowi stawić czoło?

BENWOLIO
A cóż to takiego Tybalt?

MERKUCJO
Coś więcej niż książę kotów; możesz mi wierzyć! Nieustraszony rębacz, bije się jak z nut, zna czas, odległość i miarę; pauzuje w sam raz jak potrzeba: raz, dwa, a trzy to już w pierś. Żaden jedwabny guzik nie wykręci mu się od śmierci. Duelista to, duelista pierwszej klasy. Owe nieśmiertelne passado! Owe punto reverso! owe hai!

BENWOLIO
Co takiego?

MERKUCJO
Niech kaci porwą to plemię śmiesznych, sepleniących, przesadnych fantastyków, z ich nowo kutymi terminami! Na Boga, doskonała klinga! Dzielny mąż! Wspaniała dziewka! Nie jestże to rzecz opłakana, że nas obsiadły te zagraniczne muchy, te modne sroki, te pardonnez moi, którym tak bardzo idzie o nową formę, że nawet na starej ławce wygodnie siedzieć nie mogą; te bąki, co bąkają: bon! bon!

Wchodzi ROMEO.

BENWOLIO
Oto Romeo, nasz Romeo idzie.

MERKUCJO
Bez mlecza, jak śledź suszony. O! człowieku! jakżeś się w rybę przedzierzgnął! Teraz go rymy Petrarki rozczulają. Laura naprzeciw jego bóstwa jest prostą pomywaczką, lubo tamta miała kochanka, co ją opiewał; Dydona flądrą; Kleopatra Cyganką; Helena i Hero szurgotami i otłukami; Tyzbe kopciuchem lub czymś podobnym, ale zawsze niedystyngowanym. Bonjour, sinior Romeo! Oto masz francuskie pozdrowienie na cześć twoich francuskich pantalonów. Pięknie nas zażyłeś tej nocy.

ROMEO
Dzień dobry wam, moi drodzy. Jakże to was zażyłem?

MERKUCJO
Pokazałeś nam odwrotną stronę medalu, odwrotną stronę swego medalu.

ROMEO

To się znaczy, żem wam zdezerterował. Wybacz, kochany Merkucjo; miałem pilny interes, a w takim przypadku człowiek może zgrzeszyć na polu uprzejmości.

MERKUCJO
To się znaczy, że w takim przypadku człowiek może być zniewolony zgiąć kolana.

ROMEO
Ma się rozumieć – z uprzejmości.

MERKUCJO
Bardzoś zgrabnie trafił w sedno.

ROMEO
A ty bardzoś zgrabnie to wyłożył.

MERKUCJO
Ja bo jestem kwiatem uprzejmości.

ROMEO
Kwiatem kwiatów.

MERKUCJO
Racja.

ROMEO
Jeżeliś ty kwiatem, to moje trzewiki są w kwitnącym stanie.

MERKUCJO
Brawo! pielęgnuj mi ten dowcip; ażeby, skoro ci się do reszty zedrze podeszwa u trzewików, twój dowcip mógł po prostu figurować.

ROMEO
O! godny zdartej podeszwy dowcipie! O! figuro pełna prostoty z powodu swego prostactwa!

MERKUCJO
Na pomoc, Benwolio! moje koncepta dech tracą.

ROMEO
Pejczą je i pejczą! Biczem i ostrogą, inaczej nazwę je hetkami.

MERKUCJO
Jeżeli twój dowcip poluje na dzikie gęsi, to kapituluję; bo on ma więcej kwalifikacji ku temu niż wszystkie moje umysłowe władze. Czy ja ci się zdaję na to, żebym miał z gęsiami do czynienia?

ROMEO
Tyś mi się nigdy na nic nie zdał, wyjąwszy, kiedy miałem do czynienia z gęsiami.

MERKUCJO
Za ten koncept ugryzę cię w ucho.

ROMEO
Chyba udziobiesz!

MERKUCJO
Twój dowcip jest gorzką konfiturą, diabelnie ostrym sosem.

ROMEO
Stosownym do gęsi.

MERKUCJO

To koncept z koźlej skórki, której cal da się rozciągnąć tak, że nim opaszesz całą głowę.

ROMEO
Rozciągnę go do wyrazu „głowę”, który połączywszy z gęsią, będziesz miał gęsią głowę.

MERKUCJO
Nie jestże to lepiej niż jęczeć z miłości? Teraz to co innego; teraz mi jesteś towarzyski, jesteś Romeem, jesteś tym, czym jesteś; miłość zaś jest podobna do owego gapia, co się szwenda wywiesiwszy język, szukając dziury, gdzie by mógł palec wścibić.

ROMEO
Stój! Stój!

MERKUCJO
Chcesz, aby się mój dowcip zastanowił w samym środku weny?

ROMEO
Z obawy, abyś tej weny zbyt nie rozszerzył.

MERKUCJO
Mylisz się, właśnie byłem bliski ją ścieśnić, bo jużem był doszedł do jej dna i nie miałem zamiaru dłużej wyczerpywać materii.

ROMEO
Patrzcie, co za dziwadła!

Wchodzi MARTA z PIOTREM.

MERKUCJO
Żagiel! żagiel! żagiel!

BENWOLIO
Dwa, dwa: spodnie i spódnica

MARTA
Piotrze.

PIOTR
Słucham.

MARTA
Piotrze, gdzie mój wachlarz?

MERKUCJO
Proszę cię, mój Piotrze, zakryj wachlarzem twarz jejmości; bo z dwojga tego, jej wachlarz jest piękniejszy.

MARTA
Życzę panom dnia dobrego.

MERKUCJO
Życzymy ci dobrego południa, piękna sinioro.

MARTA
Czy to już południe?

MERKUCJO
Nie inaczej; bo nieczysta ręka wskazówki na kompasie trzyma już południe za ogon.

MARTA
Chryste Panie! Cóż to za człowiek z waćpana?

ROMEO
Człowiek, którego Pan Bóg skazał na zepsucie.

MARTA
Dobrześ pan powiedział, na poczciwość! Nie wie też czasem który z panów, gdzie bym mogła znaleźć młodego Romea?

ROMEO
Ja wiem czasem, ale młodego Romea znajdziesz waćpani starszym, niż był, kiedyś go szukać zaczęła. Jestem najmłodszy z tych, co noszą to imię w braku gorszego.

MARTA
Ach, to dobrze!

MERKUCJO
Możeż być dobrym to, co jest gorszym?

MARTA
Jeżeli waćpan nim jesteś, to rada bym z nim pomówić sam na sam.

BENWOLIO
Zaprosi go na jakąś wieczorynkę.

MERKUCJO
Pośredniczka to Wenery. Huź, ha!

ROMEO
Cóż to, czyś kota upatrzył?

MERKUCJO
Kotlinę, panie, nie kota; i to w starym piecu, nie w polu.

Bodaj to kotlina,
Gdzie siedzi kocina,
Ta nie osmali...

Lecz zmykaj, chudzino,
Przed taką kotliną,
Gdzie diabeł pali!

Romeo, czy będziesz u ojca na obiedzie? My tam idziemy.

ROMEO
Pośpieszę za wami.

MERKUCJO
Do widzenia, starożytna damo; damo, damo, damo, damo!

Wychodzą MERKUCJO i BENWOLIO.

MARTA
Tak, tak, do widzenia! Co to za infamis, proszę pana, co się tak poważył rozpuścić cugle swemu grubiaństwu?

ROMEO
Jest to panicz zakochany w swym języku, zdolny wypowiedzieć więcej w ciągu jednej minuty niż milczeć przez cały miesiąc.

MARTA
Jeżeli on na mnie co powiedział, dam ja mu, chociażby był zuchwalszy, niż jest, i miał ze sobą dwudziestu sobie podobnych drabów; a jeżeli mi ujdzie, to znajdę takich, co to potrafią. A hultaj! czy to ja jestem jego kochanką, jego poniewieradłem!

do PIOTRA

I ty tu stałeś także i mogłeś ścierpieć, żeby mnie lada gbur używał wedle upodobania za przedmiot swych bezwstydnych żartów?

PIOTR
Nie widziałem jeszcze, żeby kto używał jejmości wedle upodobania; gdybym był to widział, byłbym był pewnie zaraz giwer wydobył, ręczę za to. Umiem się najeżyć tak dobrze jak kto inny, kiedy mam sposobność po temu i prawo za sobą.

MARTA
Dlaboga! tak jestem rozdrażniona, że się wszystko we mnie trzęsie. A hultaj! Otóż, proszę pana, tak jak powiedziałam, młoda moja pani kazała mi się wywiedzieć o panu; co mi kazała powiedzieć, to sobie zachowuję; ale przede wszystkim oświadczam panu, że jeżelibyś ją osadził na koszu, jak to mówią, bo panienka, o której mówię, jest młoda, i dlatego, gdybyś ją pan wywiódł w pole, byłoby to tak ciężkim psikusem, jaki tylko młodej panience można wyrządzić.

ROMEO
Pozdrów ją, waćpani, ode mnie i powiedz, że jej daję rendez – vous...

MARTA
Poczciwości! oświadczę jej to, oświadczę. Niebożę, nie posiądzie się z radości.

ROMEO
Co jej waćpani chcesz oświadczyć? Nie wiesz, co mówić miałem.

MARTA
Oświadczę jej, że pan dajesz randewu; co jest, jeżeli się nie mylę, ofiarą godną prawdziwego szlachcica.

ROMEO
Powiedz jej, aby pod pozorem spowiedzi przyszła za parę godzin do celi ojca Laurentego, tam ślub weźmiemy. Oto masz waćpani za swoje trudy.

MARTA
Nie, panie; ani grosika.

ROMEO
No, no, bez ceremonii.

MARTA
Za parę godzin więc; dobrze, nie zaniedba się stawić.

ROMEO
Waćpani staniesz za murem klasztornym,
Tam ci mój człowiek przyniesie drabinkę
Z sznurków skręconą, która mi w noc późną
Do szczytu mego szczęścia wstęp ułatwi.
Bądź zdrowa! Wierność twa znajdzie nagrodę,
Poleć mię swojej młodej pani.

MARTA
Niech wam Bóg błogosławi! Ale, ale...

ROMEO
Cóż mi waćpani jeszcze powiesz?

MARTA
Czy człowiek pański dobry do sekretu?
Bo gdzie się skrycie prowadzą układy,

Tam dwóch już, mówią, za wiele do rady.

ROMEO
Ręczę za niego: jest to wierność sama.

MARTA
A więc wszystko dobrze. Co też za miłe stworzenie ta moja panienka! Co to nie wyprawiało, jak było małym! Chryste Panie! Ale, ale, jest tu na mieście jeden pan, niejaki Parys, ten ma na nią diabli apetyt; ale ona, poczciwina, wolałaby patrzeć na bazyliszka niż na niego. Przekomarzam się z nią nieraz i mówię, że ten Parys to wcale przystojny mężczyzna; wtedy ona, powiadam panu, za każdym razem aż blednie, zupełnie tak jak pąsowa chusta na słońcu. Proszę też pana, czy rozmaryn i Romeo nie zaczyna się od takiej samej litery?

ROMEO
Nie inaczej: jedno i drugie od R.

MARTA
Kpiarz z waszmości. To psie imię. To litera dla... Nie, tamto zaczyna się od innej litery. Co też ona o tym prawi, to jest o rozmarynie i o panu: rada bym, żebyś pan to słyszał.

ROMEO
Poleć jej służby moje.
wychodzi

MARTA
Uczynię to, uczynię po tysiąc razy. – Piotrze!

PIOTR

Jestem.

MARTA
Piotrze, naści mój wachlarz i idź przodem.
Wychodzą.

Scena V

Ogród Kapuletów. Wchodzi JULIA.

JULIA
Dziewiąta biła, kiedym ją posłała;
Przyrzekła wrócić się za pół godziny.
Nie znalazła go może? nie, to nie to;
Słabe ma nogi. Heroldem miłości
Powinna by być myśl, która o dziesięć
Razy mknie prędzej niż promienie słońca,
Kiedy z pochyłych wzgórków cień spędzają.
Nie darmo lotne gołębie są w cugach
Bóstwa miłości i nie darmo Kupid
Ma skrzydła z wiatrem idące w zawody.
Już teraz słońce jest w samej połowie
Dzisiejszej drogi swojej; od dziewiątej
Aż do dwunastej trzy już upłynęły
Długie godziny, a jeszcze jej nie ma.
Gdyby krew miała młodą i uczucia,
Jak piłka byłaby chyżą i lekką,
I słowa moje do mego kochanka,
A jego do mnie w lot by ją popchnęły;
Lecz starzy wcześnie są jakby nieżywi;

Jak ołów ciężcy, zimni, więc leniwi.

Wchodzą MARTA i PIOTR.

Ha! otóż idzie. I cóż, złota nianiu?
Czyś się widziała z nim? Każ odejść słudze.

MARTA
Idź, stań za progiem Piotrze.

Wychodzi PIOTR.

JULIA
Mów, droga, luba nianiu! Ależ przebóg!
Czemu tak smutno wyglądasz? Chociażbyś
Złe wieści miała, powiedz je wesoło;
Jeśli zaś dobre przynosisz, ta mina
Fałszywy miesza ton do ich muzyki.

MARTA
Tchu nie mam, pozwól mi trochę odpocząć;
Ach! moje kości! To był harc nie lada!

JULIA
Weź moje kości, a daj mi wieść swoją.
Mówże, mów prędzej, mów, nianiuniu droga.

MARTA
Co za gwałt! Folguj, dlaboga, choć chwilkę,
Czyliż nie widzisz, że ledwie oddycham?

JULIA
Ledwie oddychasz; kiedy masz dość tchnienia
Do powiedzenia, że ledwie oddychasz?

To tłumaczenie się twoje jest dłuższe
Od wieści, której zwłokę nim tłumaczysz;
Maszli wieść dobrą czy złą? niech przynajmniej
Tego się dowiem, poczekam na resztę;
Tylko mi powiedz: czy jest zła, czy dobra?

MARTA
Tak, tak, pięknyś panna wybór zrobiła! pannie właśnie męża wybierać. Romeo! żal się Boże! Co mi to za gagatek! Ma wprawdzie twarz gładszą niż niejeden, ale oczy, niech się wszystkie inne schowają; co się zaś tyczy rąk i nóg, i całej budowy, chociaż o tym nie ma co wspominać, przyznać trzeba, że nieporównane. Nie jest to wprawdzie galant całą gębą, ale słodziuchny jak baranek. No, no, dziewczyno! Bóg pomagaj! A czy jedliście już obiad?

JULIA
Nie. Ale o tym wszystkim już wiedziałam.
Cóż o małżeństwie naszym mówił? powiedz.

MARTA
Ach! jak mnie głowa boli! tak w niej łupie,
Jakby się miała w kawałki rozlecieć.
A krzyż! krzyż! biedny krzyż! niechaj waćpannie
Bóg nie pamięta, żeś mię posyłała.
Aby mi przez ten kurs śmierci przyśpieszyć.

JULIA
Doprawdy, przykro mi, że jesteś słaba.
Nianiu, nianiuniu, nianiunieczku droga.
Powiedz mi, co ci mówił mój kochanek?

MARTA
Mówił, jak dobrze wychowany młodzian,
Grzeczny, stateczny, a przy tym, upewniam,
Pełen zacności. Gdzie waćpanny matka?

JULIA
Gdzie moja matka? Gdzież ma być? Jest w domu.
Co też nie pleciesz, nianiu, mój kochanek
Mówił, jak dobrze wychowany młodzian,
Gdzie moja matka?

MARTA
O mój miły Jezu!
Takżeś mi aśćka w ukropie kąpana!
I takąż to jest maść na moje kości?
Bądźże na przyszłość sama sobie posłem.

JULIA
O męki! Co ci powiedział Romeo?

MARTA
Masz pozwolenie iść dziś do spowiedzi?

JULIA
Mam je.

MARTA
Śpiesz więc do celi ojca Laurentego;
Tam znajdziesz kogoś, coć pojmie za żonę.
Jak ci jagódki pokraśniały! Czekaj!
Zaraz je w szkarłat zmienię inną wieścią:
Idź do kościoła, ja tymczasem pójdę

Przynieść drabinkę, po której twój ptaszek
Ma się do gniazdka wśliznąć, jak się ściemni.
Jak tragarz, muszę być ci ku pomocy;
Ty za to ciężar dźwigać będziesz w nocy.
Idź: trza mi zjeść co po takim zmachaniu.

JULIA
Idę raj posiąść. Adieu, złota nianiu.
Wychodzą.

Scena VI

Cela Ojca Laurentego. OJCIEC LAURENTY i ROMEO.

OJCIEC LAURENTY
Oby ten święty akt był miły niebu
I przyszłość smutkiem nas nie ukarała.

ROMEO
Amen! lecz choćby przyszedł nawał smutku,
Nie sprzeciwważyłby on tej radości,
Jaką mię darzy jedna przy niej chwila.
Złącz tylko nasze dłonie świętym węzłem;
Niech go śmierć potem przetnie, kiedy zechce,
Dość, że wprzód będę mógł ją nazwać moją.

OJCIEC LAURENTY
Gwałtownych uciech i koniec gwałtowny;
Są one na kształt prochu zatlonego,
Co wystrzeliwszy gaśnie. Miód jest słodki,

Lecz słodkość jego graniczy z ckliwością
I zbytkiem smaku zabija apetyt.
Miarkuj więc miłość twoją; zbyt skwapliwy
Tak samo spóźnia się jak zbyt leniwy.
Wchodzi JULIA.

Otóż i panna młoda. Mech najcieńszy
Nie ugiąłby się pod tak lekką stopą.
Kochankom mogłyby do jazdy służyć
Owe słoneczne pyłki, co igrają
Latem w powietrzu; tak lekką jest marność.

JULIA
Czcigodny spowiedniku, bądź pozdrowion.

OJCIEC LAURENTY
Romeo, córko, podziękuje tobie
Za nas obydwu.

JULIA
Pozdrawiam go również,
By dzięki jego zbytnimi nie były.

ROMEO
O! Julio, jeśli miara twej radości
Równa się mojej, a dar jej skreślenia
Większy od mego: to osłódź twym tchnieniem
Powietrze i niech muzyka ust twoich
Objawi obraz szczęścia, jakie spływa
Na nas oboje w tym błogim spotkaniu.

JULIA

Czucie bogatsze w osnowę niż w słowa
Pyszni się z swojej wartości, nie z ozdób;
Żebracy tylko rachują swe mienie.
Mojej miłości skarb jest tak niezmierny,
Że i pół sumy tej nie zdołam zliczyć.

OJCIEC LAURENTY
Pójdźcie, załatwim rzecz w krótkich wyrazach,
Nie wprzód będziecie sobie zostawieni,
Aż was sakrament z dwojga w jedno zmieni.
Wychodzą.

AKT TRZECI

Scena I

Plac publiczny. Wchodzą BENWOLIO, MERKUCJO, PAŹ i słudzy.

BENWOLIO
Oddalmy się stąd, proszę cię, Merkucjo,
Dzień dziś gorący, Kapuleci krążą;
Jak ich zdybiemy, nie unikniem zajścia,
Bo w tak gorące dni krew nie jest lodem.

MERKUCJO
Podobnyś do owego burdy, co wchodząc do winiarni rzuca szpadę i mówi: „Daj Boże, abym cię nie potrzebował!", a po wypróżnieniu drugiego kubka dobywa jej na dobywacza korków bez najmniejszej w świecie potrzeby.

BENWOLIO
Masz mię za takiego burdę?

MERKUCJO
Mam cię za tak wielkiego zawadiakę, jakiemu chyba mało kto równy jest we Włoszech; bardziej zaiste skłonnego do breweryj niż do brewiarza.

BENWOLIO
Cóż dalej?

MERKUCJO
Gdybyśmy mieli dwóch takich, to byśmy wkrótce nie mieli żadnego, bo jeden by drugiego zagryzł. Tyś gotów człowieka napastować za to, że ma w brodzie jeden włos mniej lub więcej od ciebie. Tyś gotów napastować człowieka za to, że piwo pije, bo w tym upatrzysz przytyk do swoich piwnych oczu; chociaż żadne inne oko, jak piwne, nie upatrzyłoby w tym przytyku. W twojej głowie tak się lęgną swary jak bekasy w ługu, toś też nieraz za to beknął i głowę ci zmyto bez ługu. Pobiłeś raz człowieka za to, że kaszlnął na ulicy i przebudził przez to twego psa, który się wysypiał przed domem. Nie napastował żeś raz krawca za to, że wdział na siebie nowy kaftan w dzień powszedni? kogoś innego za to, że miał stare wstążki u nowych trzewików? I ty mię chcesz moralizować za kłótliwość?

BENWOLIO
Gdybym był tak skory do kłótni, jak ty jesteś, nikt by mi życia na pięć kwadransów nie zaręczył.

MERKUCJO
Życie twoje przeszłoby zatem bez zaręczyn.

Wchodzi TYBALT z poplecznikami swymi.

BENWOLIO
Patrz, oto idą Kapuleci.

MERKUCJO
Zamknij oczy! Co mi do tego!

TYBALT
do swoich

Pójdźcie tu, bo chcę się z nimi rozmówić.
do tamtych

Mości panowie, słowo.

MERKUCJO
Słowo tylko?
I samo słowo? Połącz je z czymś drugim;
Z pchnięciem na przykład.

TYBALT
Znajdziesz mię ku temu
Gotowym, panie, jeśli dasz okazję.

MERKUCJO
Sam ją wziąć możesz bez mego dawania.

TYBALT
Pan jesteś w dobrej harmonii z Romeem?

MERKUCJO
W harmonii? Maszli nas za muzykusów!
Jeśli tak, to się nie spodziewaj słyszeć
Czego innego, jeno dysonanse.
Oto mój smyczek; zaraz ci on gotów
Zagrać do tańca. Patrzaj go! w harmonii!

BENWOLIO
Jesteśmy w miejscu publicznym, panowie;
Albo usuńcie się gdzie na ustronie,
Albo też zimną krwią połóżcie tamę
Tej kłótni. Wszystkich oczy w nas wlepione.

MERKUCJO
Oczy są na to, ażeby patrzały;
Niech robią swoje, a my róbmy swoje.

Wchodzi ROMEO.

TYBALT
Z panem nic nie mam do omówienia. Oto
Nadchodzi właśnie ten, którego szukam.

MERKUCJO
Jeżeli szukasz guza, mogę ręczyć,
Że się z nim spotkasz.

TYBALT
Romeo, nienawiść
Moja do ciebie nie może się zdobyć
Na lepszy wyraz jak ten: jesteś podły.

ROMEO
Tybalcie, powód do kochania ciebie,
Jaki mam, tłumi gniew słusznie wzbudzony
Taką przemową. Nie jestem ja podły;
Bądź więc zdrów. Widzę, że mię nie znasz.

TYBALT
Smyku.
Nie zatrzesz takim tłumaczeniem obelg
Mi uczynionych: stań więc i wyjm szpadę.

ROMEO
Klnę się, żem nigdy obelg ci nie czynił;

Sprzyjam ci, owszem, bardziej, niżeś zdolny
Pomyśleć o tym, nie znając powodu.
Uspokój się więc, zacny Kapulecie,
Którego imię milsze mi niż moje.

MERKUCJO
Spokojna, nędzna, niegodna submisjo!
Alla stoccata wnet jej kres położy.
dobywa szpady

Pójdź tu, Tybalcie, pójdź tu, dusiszczurze!

TYBALT
Czego ten człowiek chce ode mnie?

MERKUCJO
Niczego, mój ty kocikrólu, chcę ci wziąć tylko jedno życie spomiędzy dziewięciu, jakie masz, abym się nim trochę popieścił; a za nowym spotkaniem uskubnąć ci i tamte ośm, jedno po drugim. Dalej! wyciągnij za uszy szpadę z powijaka, inaczej moja gwiźnie ci koło uszu, nim wyciągniesz swoją.

TYBALT
Służę waćpanu.
dobywa szpady

ROMEO
Merkucjo, schowaj szpadę, jak mnie kochasz.

MERKUCJO
Pokaż no swoje passado.
Biją się.

ROMEO
Benwolio,
Rozdziel ich! Wstydźcie się, moi panowie!
Wybaczcie sobie. Tybalcie! Merkucjo!
Książę wyraźnie zabronił podobnych
Starć na ulicach. Merkucjo! Tybalcie!

TYBALT odchodzi ze swoimi.

MERKUCJO
Zranił mię. Kaduk zabierz wasze domy!
Nie wybrnę z tego. Czy odszedł ten hultaj
I nie oberwał nic?

BENWOLIO
Jesteś raniony?

MERKUCJO
Tak, tak, draśniętym trochę, ale rdzennie.
Gdzie mój paź? Chłopcze, biegnij po chirurga.

Wychodzi PAŹ.

ROMEO
Zbierz męstwo, rana nie musi być wielka.

MERKUCJO
Zepewne, nie tak głęboka jak studnia
Ani szeroka tak jak drzwi kościelne,
Ale wystarcza w sam raz, ręczę za to
Znajdziesz mię jutro spokojnym jak trusia.
Już się dla tego świata na nic nie zdam.
Bierz licho wasze domy! Żeby taki

Pies, szczur, kot na śmierć zadrapał człowieka!
Taki cap, taki warchoł, taki ciura.
Co się bić umie jak z arytmetyki!
Po kiego czorta ci się było mieszać
Między nas! Zranił mię pod bokiem twoim.

ROMEO
Chciałem, Bóg widzi, jak najlepiej.

MERKUCJO
Benwolio, pomóż mi wejść gdzie do domu.
Słabnę. Bierz licho oba wasze domy!
One mię dały na strawę robakom;
Będę nią, i to wnet. Kaduk was zabierz!

Wychodzą MERKUCJO i BENWOLIO.

ROMEO
Ten dzielny człowiek, bliski krewny księcia
I mój najlepszy przyjaciel, śmiertelny
Poniósł cios za mnie; moją dobrą sławę
Tybalt znieważył; Tybalt, który nie ma
Godziny jeszcze, jak został mym krewnym.
O Julio! wdzięki twe mię zniewieściły
I z hartu zwykłej wyzuły mię siły.

BENWOLIO powraca.

BENWOLIO
Romeo, Romeo, Merkucjo skonał!
Mężny duch jego uleciał wysoko
Gardząc przedwcześnie swą ziemską powłoką.

ROMEO
Dzień ten fatalny więcej takich wróży;
Gdy się raz zacznie złe, zwykle trwa dłużej.
TYBALT powraca.

BENWOLIO
Oto szalony Tybalt wraca znowu.

ROMEO
On żyw! W tryumfie! A Merkucjo trupem!
Precz, pobłażliwa teraz łagodności!
Płomiennooka furio, ty mną kieruj!
Tybalcie, odbierz nazad swoje „podły”;
Zwracam ci, co mi dałeś! Duch Merkucja
Wznosi się ponad naszymi głowami
Dopominając się za swoją twojej.
Ty lub ja albo oba musim legnąć.

TYBALT
Nikczemny chłystku, tyś mu tu był druhem,
Bądźże i owdzie.

ROMEO
To się tym rozstrzygnie.
Walczą. TYBALT pada.

BENWOLIO
Romeo, uchodź, oddal się, uciekaj!
Rozruch się wszczyna i Tybalt nie żyje.
Nie stój jak wryty; jeśli cię schwytają,
Książę cię na śmierć skaże; chroń się zatem!

ROMEO
Jestem igraszką losu!

BENWOLIO
Prędzej! prędzej!

ROMEO wychodzi. Wchodzą obywatele itd.

PIERWSZY OBYWATEL
Gdzie on? Gdzie uszedł zabójca Merkucja?
Zabójca Tybalt w którą uszedł stronę?

BENWOLIO
Tybalt tu leży.

PIERWSZY OBYWATEL
Za mną, mości panie;
W imieniu księcia każęć być posłusznym.

Wchodzą KSIĄŻĘ z orszakiem, MONTEKI i KAPULET z małżonkami swymi i inne osoby.

KSIĄŻĘ
Gdzie są nikczemni sprawcy tej rozterki?

BENWOLIO
Dostojny książę, ja mogę objaśnić
Cały bieg tego nieszczęsnego starcia.
Oto tu leży, przez Romea zgładzon,
Zabójca twego krewnego, Merkucja.

PANI KAPULET
Tybalt! Mój krewny! Syn mojego brata!
Boże! Tak marnie zgładzony ze świata!

O mości książę, błagam twej opieki,
Niech za krew naszą odda krew Monteki.

KSIĄŻĘ
Benwolio, powiedz, kto ten spór zapalił?

BENWOLIO
Tybalt, którego Romeo powalił.
Romeo darmo przekładał, jak próżną
Była ta kłótnia, przypominał zakaz
Waszej książęcej mości, ale wszystkie
Te przedstawienia, uczynione grzecznie,
Spokojnym głosem, nawet w korny sposób,
Nie mogły wpłynąć na zawzięty umysł
Tybalta. Zamiast skłonić się do zgody
Zwraca morderczą stal w Merkucja piersi,
Który, podobnież uniesiony, ostrze
Odpiera ostrzem i uszedłszy śmierci,
Śle ją nawzajem Tybaltowi: ale
Bez skutku, dzięki zręczności tamtego.
Romeo woła: „Hola! przyjaciele!
Stójcie! odstąpcie!", i ramieniem szybszym
Od słów rozdziela skrzyżowane klingi,
Wpadając między nich; lecz w tejże chwili
Cios wymierzony z boku przez Tybalta
Przeciął Merkucja życie. Tybalt zniknął:
Wkrótce atoli ukazał się znowu,
Kiedy Romeo już był zemstą zawrzał.
Starli się w okamgnieniu i nim szpadę
Wyjąć zdołałem, by wstrzymać tę zwadę,
Już mężny Tybalt wskroś poległ przeszyty

Z ręki Romea, a Romeo uszedł.
Tak się rzecz miała: jeżelim się minął
Z prawdą, bodajem ciężką śmiercią zginął.

PANI KAPULET
On jest Montekich krewnym, przywiązanie
Czyni go kłamcą, nie wierz mu, o panie!
Ich tu przynajmniej ze dwudziestu było;
Dwudziestu przeciw jednemu walczyło.
Sprawiedliwości, panie! Kto śmierć zadał,
Słuszna, by śmiercią za to odpowiadał.

KSIĄŻĘ
Tybalt ją zadał wprzód Merkucjuszowi,
Romeo jemu; któż słusznie odpowie?

MONTEKI
Nie mój syn, panie; o, nie wyrzecz tego!
On był Merkucja najlepszym kolegą
I przyjacielem; w tym jedynie zgrzeszył,
Że Tybaltowi nieprawnie przyspieszył
Rygoru prawa.

KSIĄŻĘ
I za ten to błąd
Banitujemy go na zawsze stąd.
Z bliska mię wasze dotknęły niesnaski,
Skoro mój własny dom cierpi z ich łaski;
Ale ja takie znajdę środki na nie,
Że wam spór każdy obmierzłym się stanie,
Wszelkie wykręty na nic się nie zdadzą:

Ni łzy, ni prośby winnym nie poradzą,
Uprzedzam! Niechaj Romeo ucieka,
Bo gdy schwytany będzie, śmierć go czeka.
Każcie stąd zabrać te zwłoki: Łaskawość
Zbrodnią jest, kiedy oszczędza nieprawość.
Wychodzą.

Scena II

Pokój w domu Kapuletów. JULIA sama.

JULIA
Pędźcie, ognistokopyte rumaki,
Ku państwom Feba; oby nowy jaki
Faeton dodał wam bodźca i rączej
Pognał was owdzie, gdzie się szlak dnia kończy!
Wierna kochankom nocy, spuść zasłonę,
By się wznieść mogły oczy w dzień spuszczone
I w te objęcia niedostrzeżonego
Sprowadź, ach! sprowadź mi Romea mego!
Miłości świeci pod twą czarną krepą
Jej własna piękność, a jeśli jest ślepą,
Tym stosowniejszy mrok dla niej. O nocy!
Cicha matrono, w ciemnej twej karocy
Przybądź i naucz mię niemym wyrazem,
Jak się to traci i wygrywa razem
Wśród gry niewinnej dwojga serc dziewiczych;
Skryj w płaszcza twego zwojach tajemniczych
Krew, co mi do lic bije z głębi łona;

Aż nieświadoma miłość, ośmielona,
Za skromność weźmie czyn swej świadomości.
Przyjdź, ciemna nocy! Przyjdź, mój dniu w ciemności!
To twój blask, o mój luby, jaśnieć będzie
Na skrzydłach nocy, jak pióro łabędzie
Na grzbiecie kruka. Wstąp, o, wstąp w te progi!
Daj mi Romea, a po jego zgonie
Rozsyp go w gwiazdki! A niebo zapłonie
Tak, że się cały świat w tobie zakocha
I czci odmówi słońcu. Ach, jam sobie
Kupiła piękny przybytek miłości,
A w posiadanie jego wejść nie mogę;
Nabytą jestem także, a nabywca
Jeszcze mię nie ma! Dzień ten mi nieznośny
Jak noc, co święto jakowe poprzedza,
Niecierpliwemu dziecku, które nowe
Dostało szaty, a nie może zaraz
W nie się przystroić. A! niania kochana.
Wchodzi MARTA z drabinką sznurową w ręku.

Niesie mi wieści o nim, a kto tylko
Wymienia imię Romea, ten boski
Ma dar wymowy. Cóż tam, moja nianiu?
Co to masz? Czy to ta drabinka, którą
Romeo przynieść kazał?

MARTA
Tak, drabinka!
rzuca ją

JULIA

Dlaboga! czego załamujesz ręce?

MARTA
Ach! on nie żyje, nie żyje! nie żyje!
Biada nam! biada nam! wszystko stracone!
On zginął! on nie żyje! on zabity!

JULIA
Możeż być niebo tak okrutne?

MARTA
Niebo
Nie jest okrutne, lecz Romeo; on to,
On jest okrutny. O Romeo! któż by
Się był spodziewał! Romeo! Romeo!

JULIA
Cóżeś za szatan, że tak mię udręczasz?
Taki głos w piekle by tylko brzmieć winien.
Czyliż Romeo odjął sobie życie?
Powiedz: tak! a te trzy litery gorszy
Jad będą miały niż wzrok bazyliszka.
Jeżeli takie „tak” istnieje, Julia
Istnieć nie będzie; zawrą się na zawsze
Te usta, które to „tak” wywołały.
Zginąłli, powiedz: tak, jeżeli nie – nie;
W krótkich wyrazach zbaw albo mnie zabij.

MARTA
Widziałam ranę na me własne oczy,
Boże, zmiłuj się nad nim, tu, tu oto,

Tu w samym środku mężnej jego piersi.
Straszny trup! straszny trup! blady jak popiół;
Cały zbroczony, cały krwią zbryzgany,
Zgęstłą krwią: ażem wzdrygnęła się patrząc.

JULIA
O pęknij, serce! pęknij w tym przeskoku
Z bogactw do nędzy! Do więzienia, wzroku!
Już ty nie zaznasz swobody uroku.
Jak nas na ziemi złączył jeden ślub,
Tak niech nas w ziemi złączy jeden grób.

MARTA
Tybalcie! mój najlepszy przyjacielu!
Luby Tybalcie! dziarski, walny chłopcze!
Czemuż mi, czemuż przyszło przeżyć ciebie?

JULIA
Cóż to za wicher dmie z dwóch stron przeciwnych?
Romeo zginął? i Tybalt zabity?
Ogłoś więc, straszna trąbo, koniec świata!
Bo gdzież są żywi, gdy ci dwaj nie żyją?

MARTA
Tybalt nie żyje, Romeo wygnany,
Romeo zabił go, jest więc wygnany.

JULIA
Boże! Romeo przelał krew Tybalta?

MARTA
On to, niestety, on, on to uczynił.

JULIA
O serce żmii pod kwiecistą maską!
Kryłże się kiedy smok w tak pięknym lochu?
Luby tyranie, anielski szatanie!
Kruku w gołębich pierzach! Wilku w runie!
Nikczemny wątku w niebiańskiej postaci!
We wszystkim sprzeczny z tym, czym się wydajesz.
Szlachetny zbrodniu! Potępieńcze święty!
O, cóżeś miała do czynienia w piekle,
Naturo, kiedyś taki duch szatański
W raj tak pięknego ciała wprowadziła?
Byłaż gdzie książka tak ohydnej treści
W oprawie tak ozdobnej? Trzebaż, aby
Fałsz zamieszkiwał tak przepyszny pałac?!

MARTA
Nie ma czci, nie ma wiary, nie ma prawdy,
Nie ma sumienia w ludziach; sama zmienność,
Sama przewrotność, chytrość i obłuda.
Pietrze! daj no mi trochę akwawity.
Te smutki, te zgryzoty, te cierpienia
Robią mię starą. Przeklęty Romeo!
Hańba mu!

JULIA
Bodaj ci język oniemiał
Za to przekleństwo! Romeo nie zrodzon
Do hańby; hańba by wstydem spłonęła
Na jego czole! bo ono jest tronem,
Na którym honor śmiało by mógł zostać

Koronowany na monarchę świata.
O, jakże mogłam mu złorzeczyć!

MARTA
Chceszże
Zbójcę krewnego twego uniewinniać?

JULIA
Mamże potępiać mojego małżonka?
O biedny! któż by popieścił twe imię,
Gdybym ja, od trzech godzin twoja żona,
Miała je szarpać? Ależ, niegodziwy,
Za co ty mego zabiłeś krewnego!
Za to, że krewny niegodziwy zabić
Chciał mego męża. Precz, precz, łzy niewczesne!
Spłyńcie do źródła, które was wydało;
Dań waszych kropel przypada żalowi,
A nie radości, której ją płacicie.
Mój mąż, co Tybalt go chciał zabić, żyje,
A Tybalt, co chciał zabić mego męża,
Śmierć poniósł; w tym pociecha. Czegóż płaczę?
Ha! doszło moich uszu coś gorszego
Niż śmierć Tybalta; co mię wskroś przeszyło.
Chętnie bym o tym zapomniała, ale
To coś wcisnęło się tak w moją pamięć
Jak karygodny czyn w umysł grzesznika.
Tybalt nie żyje – Romeo wygnany!
To jedno słowo: wygnany, zabiło
Tysiąc Tybaltów. Śmierć Tybalta była
Sama już przez się dostatecznym ciosem;
Jeśli zaś ciosy lubią towarzystwo

I gwałtem muszą mieć za sobą świtę,
Dlaczegóż w ślad tych słów: Tybalt nie żyje!
Nie nastąpiło: twój ojciec nie żyje
Lub matka, albo i ojciec, i matka?
Żal byłby wtenczas całkiem naturalny,
Lecz gdy Tybalta śmierć ma za następstwo
To przeraźliwe: Romeo wygnany!
O, jednocześnie z tym wykrzykiem Tybalt,
Matka i ojciec, Romeo i Julia,
Wszyscy nie żyją. Romeo wygnany!
Z zbójczego tego wyrazu płynąca
Śmierć nie ma granic ni miary, ni końca
I żaden język nie odda boleści,
Jaką to straszne słowo w sobie mieści.
Gdzie moja matka i ojciec?

MARTA
Przy zwłokach
Tybalta jęczą i łzy wylewają.
Chcesz tam panienka iść, to zaprowadzę.

JULIA
Nie mnie oblewać łzami jego rany:
Moich przedmiotem Romeo wygnany.
Weź tę drabinkę. Biedna ty plecionko!
Ty zawód dzielisz z Romea małżonką:
Obie nas chybił los oczekiwany,
Bo on wygnany, Romeo wygnany!
Ty pozostajesz spuścizną jałową,
A ja w panieńskim stanie jestem wdową.
Pójdź, nianiu, prowadź mię w małżeńskie łoże,

Nie mąż, już tylko śmierć w nie wstąpić może.

MARTA
Czekaj no, pójdę sprowadzić Romea,
By cię pocieszył. Wiem, gdzie on jest teraz.
Nie płacz; użyjem jeszcze tych plecionek
I twój Romeo wnet przed tobą stanie.

JULIA
O, znajdź go! daj mu w zakład ten pierścionek
I na ostatnie proś go pożegnanie.
Wychodzą.

Scena III

Cela Ojca Laurentego. Wchodzi OJCIEC LAURENTY i ROMEO.

OJCIEC LAURENTY
wchodząc

Romeo! Pójdź tu, pognębiony człeku!
Smutek zakochał się w umyśle twoim
I poślubiony jesteś niefortunnie.

ROMEO
Cóż tam, cny ojcze? Jakiż wyrok księcia?
I jakaż dola nieznana ma zostać
Mą towarzyszką?

OJCIEC LAURENTY
Zbyt już oswojony

Jest mój syn drogi z takim towarzystwem,
Przynoszęć wieści o wyroku księcia.

ROMEO
Jakiż by mógł być łaskawszy prócz śmierci?

OJCIEC LAURENTY
Z ust jego padło łagodniejsze słowo:
Wygnanie ciała, nie śmierć ciała, wyrzekł.

ROMEO
Wygnanie? Zmiłuj się, jeszcze śmierć dodaj!
Wygnanie bowiem wygląda okropniej
Niż śmierć. Zaklinam cię, nie mów: wygnanie.

OJCIEC LAURENTY
Wygnany jesteś z obrębu Werony.
Zbierz męstwo, świat jest długi i szeroki.

ROMEO
Zewnątrz Werony nie ma, nie ma świata,
Tylko tortury, czyściec, piekło samo!
Stąd być wygnanym jest to być wygnanym
Ze świata; być zaś wygnanym ze świata
Jest to śmierć ponieść; wygnanie jest zatem
Śmiercią barwioną. Mieniąc śmierć wygnaniem,
Złotym toporem ucinasz mi głowę,
Z uśmiechem patrząc na ten cios śmiertelny.

OJCIEC LAURENTY
O ciężki grzechu! O niewdzięczne serce!
Błąd twój pociąga z prawa śmierć za sobą:

Książę, ujmując się jednak za tobą,
Prawo życzliwie usuwa na stronę
I groźny wyraz: śmierć – w wygnanie zmienia,
Łaska to, i ty tego nie uznajesz?

ROMEO
Katusza to, nie łaska. Tu jest niebo,
Gdzie Julia żyje; lada pies, kot, lada
Mysz marna, lada nikczemne stworzenie
Żyje tu w niebie, może na nią patrzeć,
Tylko Romeo nie może. Mdła mucha
Więcej ma mocy, więcej czci i szczęścia
Niźli Romeo; jej wolno dotykać
Białego cudu, drogiej ręki Julii
I nieśmiertelne z ust jej kraść zbawienie;
Z tych ust, co pełne westalczej skromności
Bez przerwy płoną i pocałowanie
Grzechem być sądzą; mucha ma tę wolność,
Ale Romeo nie ma; on wygnany.
I mówisz, że wygnanie nie jest śmiercią?
Nie maszli żadnej trucizny, żadnego
Ostrza, żadnego środka nagłej śmierci,
Aby mię zabić, tylko ten fatalny
Wyraz – wygnanie? O księże, złe duchy
Wyją, gdy w piekle usłyszą ten wyraz:
I ty masz serce, ty, święty spowiednik,
Rozgrześca grzechów i szczery przyjaciel,
Pasy drzeć ze mnie tym słowem: wygnanie?

OJCIEC LAURENTY
Stój, nierozumny szaleńcze, posłuchaj!

ROMEO
Znowu mi będziesz prawił o wygnaniu.

OJCIEC LAURENTY
Dam ci broń przeciw temu wyrazowi;
Balsamem w przeciwnościach – filozofia;
W tej więc otuchę czerp będąc wygnanym.

ROMEO
Wygnanym jednak! O, precz z filozofią!
Czyż filozofia zdoła stworzyć Julię?
Przestawić miasto? Zmienić wyrok księcia?
Nic z niej; bezsilna ona, nie mów o niej.

OJCIEC LAURENTY
Szaleni są więc głuchymi, jak widzę.

ROMEO
Jak mają nie być, gdy mądrzy nie widzą.

OJCIEC LAURENTY
Dajże mi mówić; przyjm słowa rozsądku.

ROMEO
Nie możesz mówić tam, gdzie nic nie czujesz.
Bądź jak ja młodym, posiądź miłość Julii,
Zaślub ją tylko co, zabij Tybalta,
Bądź zakochanym jak ja i wygnanym,
A wtedy będziesz mógł mówić; o, wtedy
Będziesz mógł sobie z rozpaczy rwać włosy
I rzuć się na ziemię, jak ja teraz,

Na grób zawczasu biorąc sobie miarę.
rzuca się na ziemię

Słychać kołatanie.

OJCIEC LAURENTY
Cicho, ktoś puka; ukryj się, Romeo.

ROMEO
Nie; chyba para powstała z mych jęków,
Jak mgła, ukryje mię przed ludzkim wzrokiem.
Kołatanie.

OJCIEC LAURENTY
Słyszysz? pukają znowu. Kto tam? Powstań,
Powstań, Romeo! Chcesz być wziętym? Powstań;
Kołatanie.

Wnijdź do pracowni mojej. Zaraz, zaraz.
Cóż to za upór!
Kołatanie.

Idę, idę, któż to
Tak na gwałt puka? Skąd wy? Czego chcecie?

MARTA
zewnątrz

Wpuśćcie mię, wnet się o wszystkim dowiecie.
Julia przysyła mię.

OJCIEC LAURENTY
Witajże, witaj.

Wchodzi MARTA.

MARTA
O! świątobliwy ojcze, powiedz, proszę,
Gdzie jest mąż mojej pani, gdzie Romeo?

OJCIEC LAURENTY
Tu, na podłodze, łzami upojony.

MARTA
Ach, on jest właśnie w stanie mojej pani,
Właśnie w jej stanie. Nieszczęsna sympatio!
Smutne zbliżenie! I ona tak leży
Płacząc i łkając, szlochając i płacząc.
Powstań pan, powstań, jeśli jesteś mężem!
O, powstań, podnieś się przez wzgląd na Julię!
Dlaczego dać się przygnębiać tak srodze?

ROMEO
Marto!

MARTA
Ach, panie! Wszystko na tym świecie
Kończy się śmiercią.

ROMEO
Mówiłaś o Julii?
Cóż się z nią dzieje? O, pewnie mię ona
Ma za mordercę zakamieniałego,
Kiedym mógł naszych rozkoszy dzieciństwo
Splamić krwią, jeszcze tak bliską jej własnej.
Gdzie ona? Jak się miewa i co mówi

Na zawód w świeżo błysłym nam zawodzie?

MARTA
Nic, tylko szlocha i szlocha, i szlocha;
To się na łóżko rzuca, to powstaje,
To woła: „Tybalt!”, to krzyczy: „Romeo!”
I znowu pada.

ROMEO
Jak gdyby to imię
Z śmiertelnej paszczy działa wystrzelone
Miało ją zabić, tak jak jej krewnego
Zabiła ręka tego, co je nosi.
O! powiedz, powiedz mi, ojcze, przez litość,
W którym zakątku tej nędznej budowy
Mieszka me imię; powiedz, abym zburzył
To nienawistne siedlisko. Dobywa miecza.

OJCIEC LAURENTY
Stój! Wstrzymaj
Dłoń rozpaczliwą! czy jesteś ty mężem?
Postać wskazuje twoja, że nim jesteś;
Łzy twe niewieście; dzikie twoje czyny
Cechują wściekłość bezrozumną zwierza.
W pozornym mężu ukryta niewiasto!
Zwierzu, przybrany w pozór tego dwojga!
Ty mnie w zdumienie wprawiasz. Jakem kapłan!
Myślałem, że masz więcej hartu w sobie.
Tybaltaś zabił, chcesz zabić sam siebie
I przez haniebny ten na siebie zamach
Zabić chcesz także tę, co żyje tobą?

Przecz tak uwłaczasz swemu urodzeniu,
Niebu i ziemi, skoro urodzenie,
Niebo i ziemia ci się śmieją? Wstydź się!
Krzywdzisz swą postać, swą miłość, swój rozum,
Boś ty jak lichwiarz bogaty w to wszystko,
Ale niczego tego nie używasz
W sposób mogący te dary ozdobić.
Kształtna twa postać jest figurą z wosku,
Skoro nie z męską cnotą idzie w parze;
Miłość twa w gruncie czczym krzywoprzysięstwem,
Skoro chcesz zabić tę, którejś ją ślubił.
Twój rozum, chluba kształtów i miłości,
Niezręczny w korzystaniu z tego dwojga,
Jest jak proch w rożku płochego żołnierza,
Co się zapala z własnej jego winy
I razi tego, którego miał bronić.
Otrząś się, człeku! Julia twoja żyje;
Julia, dla której umrzeć byłeś gotów;
W tymeś szczęśliwy. Tybalt chciał cię zabić,
Tyś jego zabił: w tym szczęśliwyś także.
Prawo, grożące ci śmiercią, zamienia
Śmierć na wygnanie, i w tymeś szczęśliwy.
Stosy na głowie błogosławieństw dźwigasz,
Szczęście najwabniej wdzięczy się do ciebie,
A ty, jak dziewka zepsuta, kapryśna,
Dąsasz się na tę szczodrotę fortuny.
Strzeż się, bo tacy marnie umierają.
Terazże idź do żony, jak to było
Wprzód umówione, i pociesz niebogę.
Pomnij wyjść jednak przed wart rozstawieniem;

Bo później przejść byś nie mógł do Mantui,
Gdzie masz przebywać tak długo, aż znajdziem
Czas do odkrycia waszego małżeństwa,
Do pojednania waszych nieprzyjaciół,
Do przebłagania księcia, na ostatek
Do sprowadzenia cię nazad, z radością
Dziesięciokroć sto tysięcy razy większą
Niż teraźniejszy twój smutek. Waćpani,
Idź naprzód; pozdrów ode mnie swą panią
I każ jej naglić wszystkich do spoczynku,
Ku czemu żal ich ułatwi namowę.
Romeo przyjdzie niebawem.

MARTA
O panie!
Mogłabym całą noc stać tu i słuchać,
Co też to może nauczoność! Biegnę
Uprzedzić moją panią, że pan przyjdziesz.

ROMEO
Idź, proś ją, niech się gotuje mię zgromić.

MARTA
Oto pierścionek, który mi kazała
Doręczyć panu. Śpiesz się pan, już późno.
Wychodzi MARTA.

ROMEO
O, jakże mi ten dar dodał otuchy!

OJCIEC LAURENTY
Idź już, dobranoc! a pamiętaj, synu,

Wyjść jeszcze dzisiaj, nim zaciągną warty,
Albo w przebraniu wyjść jutro o świcie.
Osiądź w Mantui. Jeden z naszych braci
Nosić ci będzie od czasu do czasu
Zawiadomienie o każdym wypadku,
Jaki na twoją korzyść tu się zdarzy.
Daj rękę, późno już, bądź zdrów, dobranoc.

ROMEO
Gdyby nie radość, co mię czeka, wczesny
Ten rozdział z tobą byłby zbyt bolesny.
Żegnam cię, ojcze.
Wychodzą.

Scena IV

Pokój w domu Kapuletów. Wchodzą KAPULET, PANI KAPULET i PARYS.

KAPULET
Tak smutny dotknął nas, panie, wypadek.
Żeśmy nie mieli czasu mówić z Julią.
Krewny nasz, Tybalt, był jej nader drogim,
Nam także, ale rodzim się, by umrzeć.
Dziś ona już nie zejdzie, bo już późno.
Gdyby nie twoje, hrabio, odwiedziny,
Ja sam bym w łóżku był już od godziny.

PARYS
Pora żałoby nie sprzyja zalotom;

Dobranoc, pani, poleć mnie swej córce.

PANI KAPULET
Najchętniej, zaraz jutro ją wybadam;
Na dziś zamknęła się, by żal swój spłakać.

KAPULET
Hrabio, za miłość naszego dziecięcia
Mogę ci ręczyć; mniemam, że się skłoni
Do mych przełożeń, co więcej, nie wątpię.
Pójdź do niej, żono, nim się spać położysz;
Oznajm jej cnego Parysa zamiary
I powiedzże jej, uważasz, iż w środę...
Zaczekaj, cóż to dzisiaj?

PARYS
Poniedziałek.

KAPULET
A! poniedziałek! Za wcześnie we środę;
Odłóżmy to na czwartek; w ten więc czwartek
Zostanie żoną szlachetnego hrabi.
Będzieszli gotów? Czy ci to dogadza?
Cicho się sprawim: jeden, dwóch przyjaciół...
Gdybyśmy bowiem po tak świeżej stracie
Bardzo hulali, ludzie, widzisz, hrabio,
Mogliby myśleć, że za lekko bierzem
Zgon tak bliskiego krewnego; dlatego
Wezwiem przyjaciół z jakie pół tuzina
I na tym koniec. Cóż mówisz na czwartek?

PARYS
Rad bym, o panie, żeby już był jutro.

KAPULET
To dobrze. Bądź nam zdrów. A więc we czwartek.
Wstąpże do Julii, żono, nim spać pójdziesz,
Przygotuj ją do ślubu. Bądź zdrów, hrabio.
Światła! hej! światła do mego pokoju!
Tak już jest późno, żebyśmy nieledwie
Mogli powiedzieć: tak rano. Dobranoc.
Wychodzą.

Scena V

Pokój Julii. Wchodzą ROMEO i JULIA.

JULIA
Chcesz już iść? Jeszcze ranek nie tak bliski,
Słowik to, a nie skowronek się zrywa
I śpiewem przeszył trwożne ucho twoje.
Co noc on śpiewa owdzie na gałązce
Granatu, wierzaj mi, że to był słowik.

ROMEO
Skowronek to, ów czujny herold ranku,
Nie słowik; widzisz te zazdrosne smugi,
Co tam na wschodzie złocą chmur krawędzie?
Pochodnie nocy już się wypaliły
I dzień się wspina raźnie na gór szczyty.
Chcąc żyć, iść muszę lub zostając – umrzeć.

JULIA
Owo światełko nie jest świtem; jest to
Jakiś meteor od słońca wysłany,
Aby ci służył w noc na przewodnika
I do Mantui rozjaśnił ci drogę,
Zostań więc, nie masz potrzeby się śpieszyć.

ROMEO
Niech mię schwytają, na śmierć zaprowadzą,
Rad temu będę, bo Julia chce tego.
Nie, ten brzask nie jest zapowiedzią ranka,
To tylko blady odblask lica luny;
To nie skowronek, co owdzie piosenką
Bijąc w niebiosa wznosi się nad nami.
Więcej mię względów skłania tu pozostać
Niż nagle odejść. O śmierci, przybywaj!
Chętnie cię przyjmę, bo Julia chce tego.
Cóż, luba? prawda, że jeszcze nie dnieje?

JULIA
O, dnieje, dnieje! Idź, spiesz się, uciekaj!
Głos to skowronka grzmi tak przeraźliwie
I niestrojnymi, ostrymi dźwiękami
Razi me ucho. Mówią, że skowronek
Miło wywodzi; z tym się ma przeciwnie,
Bo on wywodzi nas z objęć wzajemnych.
Skowronek, mówią, z obrzydłą ropuchą
Zamienił oczy; o, rada bym teraz,
Żeby był także i głos z nią zamienił,
Bo ten głos, w smutnej rozstania potrzebie,

Dzień przywołując, odwołuje ciebie.
Idź już, idź: ciemność coraz to się zmniejsza.

ROMEO
A dola nasza coraz to ciemniejsza!
Wchodzi MARTA.

MARTA
Pst! pst!

JULIA
Co?

MARTA
Starsza pani tu nadchodzi,
Dzień świta: baczność, bo się narazicie.
wychodzi

JULIA
O okno, wpuśćże dzień, a wypuść życie!

ROMEO
wychodząc przez okno

Bądź zdrowa! Jeszcze jeden uścisk krótki.

JULIA
Już idziesz; o mój drogi! mój milutki!
Muszę mieć co dzień wiadomość o tobie;
A każda chwila równą będzie dobie.
Zgrzybieję licząc podług tej rachuby,
Nim cię zobaczę znowu, o mój luby.

ROMEO
Ilekroć będę mógł, tylekroć twoję
Drogą troskliwość pewnie zaspokoję.
znika za oknem

JULIA
Jak myślisz, czy się znów ujrzymy kiedy?

ROMEO
Nie wątpię o tym, najmilsza, a wtedy
Wszystkie cierpienia nasze kwiatem tkaną
Kanwą do słodkich rozmów nam się staną.

JULIA
Boże! przeczuwam jakąś ciężką dolę;
Wydajesz mi się teraz tam na dole
Jak trup, z którego znikły życia ślady.
Czy mię wzrok myli? Jakiżeś ty blady!

ROMEO
I twoja także twarz jak pogrobowa.
Smutek nas trawi. Bądź zdrowa! bądź zdrowa!

JULIA
odstępując od okna
O losie! ludzie mienią cię niestałym;

Toż więc przez zawiść tylko prześladujesz
Tych, co kochają stale? Bądź niestały,
Bo wtedy będę mogła mieć nadzieję,
Że go niedługo będziesz zatrzymywał
I wrócisz nazad.

PANI KAPULET
za sceną
Julio! czyś już wstała?

JULIA
Któż to mię woła! Głosże to mej matki?
Nie spałaż ona czy wstała tak rano?
Jakiż niezwykły powód ją sprowadza?
Wchodzi PANI KAPULET.

PANI KAPULET
Jak się masz, Julciu?

JULIA
Niedobrze mi, matko!

PANI KAPULET
Wciąż jeszcze płaczesz nad stratą Tybalta?
Chceszże go łzami dobyć z grobu? Choćbyś
Dopięła tego, wskrzesić go nie zdołasz.
Przestań więc; pewien żal może dowodzić
Wielkiej miłości, ale wielkość żalu
Dowodzi pewnej płytkości pojęcia.

JULIA
Trudno na taką stratę nie być czułą.

PANI KAPULET
Tak, ale płacząc czujesz tylko stratę,
Nie tego, po kim płaczesz, moje dziecko.

JULIA

Tak czując stratę, mogę tylko płakać.

PANI KAPULET
Przyznaj się jednak, że nie tyle płaczesz
Nad jego śmiercią, jako raczej nad tym,
Że jeszcze żyje ten łotr, co go zabił.

JULIA
Jaki łotr, pani?

PANI KAPULET
Ten ci łotr Romeo.

JULIA
na stronie

On i łotr żyją daleko od siebie.
głośno

Przebacz mu, Boże, tak jak ja przebaczam,
A przecież nie ma na świecie człowieka,
Który by bardziej ciężył mi na sercu.

PANI KAPULET
Że mimo swoich niecnot jeszcze żyje.

JULIA
Że go nie mogę dosiąc tym ramieniem,
Rada bym sama móc się na nim zemścić.

PANI KAPULET
Dozna on zemsty; nie troszcz się i nie płacz,
Zlecę ja pewnej osobie w Mantui,

Gdzie ten wygnany renegat się schronił,
Dać mu traktament tak zniewalający,
Że wnet pospieszy za Tybaltem. Wtedy
Będziesz, spodziewam się, zaspokojona.

JULIA
Nie zaspokoi mnie Romeo nigdy,
Dopóki tylko żyć będzie; tak silnie
Boleść po krewnym rozjątrza mi serce.
O pani, jeśli tylko znajdziesz kogo,
Co się podejmie podać mu truciznę,
Ja ją przyrządzę, by po jej wypiciu
Romeo zasnąć mógł jak najspokojniej.
Jakże mię korci słyszeć jego imię
I nie móc zaraz dostać się do niego,
By przywiązaniu memu do Tybalta
Dać odwet na tym, co go zamordował.

PANI KAPULET
Znajdź ty sposoby, ja znajdę człowieka,
Terazże mam ci udzielić, dziewczyno,
Wesołych nowin.

JULIA
Wesołe nowiny
Pożądanymi są w tak smutnych czasach.
Jakaż tych nowin treść, kochana matko?

PANI KAPULET
Masz troskliwego ojca, moje dziecię;
On to, ażeby smutek twój rozproszyć,

Umyślił i wyznaczył dzień na radość
Tak dla cię, jak i dla mnie niespodzianą.

JULIA
Cóż to za radość, matko? mogęż wiedzieć?

PANI KAPULET
Ta, a nie inna, że w ten czwartek z rana
Piękny, szlachetny, młody hrabia Parys
Ma cię uczynić szczęśliwą małżonką
W Świętego Piotra kościele.

JULIA
Na kościół
Świętego Piotra i Piotra samego!
Nigdy on, nigdy tego nie uczyni!
Zdumiewa mię ten pośpiech. Mam iść za mąż,
Nim ten, co moim ma być mężem, zaczął
Starać się o mnie, nim mi się dał poznać?
Proszę cię, matko, powiedz memu ojcu,
Że jeszcze nie chcę iść za mąż, a gdybym
Koniecznie miała iść, to bym wolała
Pójść za Romea, który, jak wiesz dobrze,
Jest mi z całego serca nienawistny,
Niż za Parysa. Ha! to mi nowina!
Wchodzi KAPULET i MARTA.

PANI KAPULET
Oto twój ojciec, powiedz mu to sama;
Zobaczym, jak on przyjmie twą odpowiedź.

KAPULET

Kiedy dzień kona, niebo spuszcza rosę;
Ale po skonie naszego krewnego
Pada ulewny deszcz. Cóż to, dziewczyno?
Czy jesteś cebrem? Ciągle jeszcze we łzach?
Ciągłe wezbranie? W małej swej istocie
Przedstawiasz obraz łodzi, morza, wiatru:
Bo twoje oczy, jakby morze, ciągle
Falują łzami: biedne twoje ciało
Jak łódź żegluje po tych słonych falach.
Wiatrem na koniec są westchnienia twoje,
Które ze łzami walcząc, a łzy z nimi,
Jeżeli nagła nie nastąpi cisza,
Strzaskają twoją łódkę. I cóż, żono?
Czyś jej zamiary nasze objawiła?

PANI KAPULET
Tak, ale nie chce i dziękuje za nie,
Bodajby była z grobem zaślubiona!

KAPULET
Co? Jak to? Nie chce? Nie chce? Nie chce, mówisz?
Nie jest nam wdzięczna? Nie pyszni się z tego?
Nie poczytuje sobie za szczyt szczęścia,
Niegodna, żeśmy jej najgodniejszego
Z werońskich chłopców wybrali na męża?

JULIA
Nie pysznam z tego, alem wdzięczna za to
Pyszna, zaiste, nie mogę być z tego,
Co nienawidzę; lecz wdzięczna być winnam
I za nienawiść w postaci miłości.

KAPULET
Cóż to znów? cóż to? Logika w spódnicy!
Pysznam i wdzięcznam, i zasię nie wdzięcznam,
Jednak nie pysznam! Słuchaj, świdrzygłówko,
Nie dziękuj wdzięcznie ni się pyszń z niepyszna,
Lecz zbierz swe sprytne klepki na ten czwartek,
By pójść z Parysem do Świętego Piotra,
Albo cię każę zawlec tam na smyczy.
Rozumiesz? ty blednico, ty tłumoku;
Lalko łojowa!

PANI KAPULET
Wstydź się! czyś oszalał?

JULIA
Błagam cię, ojcze, na klęczkach cię błagam,
Pozwól powiedzieć sobie tylko słowo.

KAPULET
Precz, wszetecznico! dziewko nieposłuszna!
Ja ci powiadam: gotuj się w ten czwartek
Iść do kościoła lub nigdy, przenigdy
Na oczy mi się więcej nie pokazuj.
Nic nie mów ani piśnij, ani trunij:
Palce mię świerzbią. Myśleliśmy, żono,
Że nas za skąpo Bóg pobłogosławił
Dając nam jedno dziecko; teraz widzę,
Że i to jedno jest jednym za wiele
I że w niej mamy bicz boży. Precz, plucho!
Cyganko jakaś!

MARTA
Błogosław jej Boże!
Jegomość grzeszy, tak fukając na nią.

KAPULET
Doprawdy! Czy tak sądzi wasza mądrość?
Idźże pytlować gębą z kumoszkami.

MARTA
Nie mówię bluźnierstw.

KAPULET
Terefere kuku!

MARTA
Czyż mówić zbrodnia?

KAPULET
Milcz, stara trajkotko!
Schowaj swój rozum na babskie sejmiki.
Tu niepotrzebny.

PANI KAPULET
Za gorący jesteś.

KAPULET
Na miłość boską, to trzeba oszaleć!
W dzień, w noc, wieczorem, rano, w domu, w mieście,
Sam, w towarzystwie, we śnie i na jawie
Ciągle i ciągle ot, rozmyślam tylko
O jej zamęściu; i teraz, gdym znalazł
Dlań oblubieńca książęcego rodu,

Pana rozległych majątków, młodego,
Ukształconego, uposażonego
Dokolusieńka, jak mówią, w przymioty,
Jakich się może od mężczyzny żądać;
Trzeba, ażeby mi jedna smarkata,
Mazgajowata gęś odpowiedziała:
Nie chcę iść za mąż, nie mogę pokochać,
Jestem za młoda, wybaczcie mi, proszę.
Nie chcesz iść za mąż? a to nie idź, zgoda,
Ale mi nie właź w oczy; żeruj sobie,
Gdzie tylko zechcesz, byle nie w mym domu.
Zważ to, pamiętaj, nie zwykłym żartować.
Czwartek za pasem; przyłóż dłoń do serca;
Namyśl się dobrze; będzieszli powolna,
Znajdziesz dobrego we mnie przyjaciela,
A nie, to marniej, żebrz, jęcz, mrzej pod płotem;
Bo jak Bóg w niebie, nigdy cię nie uznam
Za moje dziecko i z mojego mienia
Nawet źdźbło nigdy ci się nie oberwie.
Możesz się na to spuścić, jestem słowny.
wychodzi

JULIA
Nie masz litości w niebie, która widzi
Całą głębokość mojego cierpienia?
Ty mię przynajmniej nie odpychaj, matko!
Zwlecz to małżeństwo na miesiąc, na tydzień
Albo mi pościel oblubieńcze łoże
W tymże grobowcu, w którym Tybalt leży.

PANI KAPULET

Nie mów nic do mnie, nic ci nie odpowiem;
Rób, co chcesz, wszystko mi to obojętne.
wychodzi

JULIA
O Boże! O ty, moja karmicielko!
Poradź mi, powiedz, jak temu zaradzić?
Mój mąż na ziemi, moja wiara w niebie;
Jakżeż ta wiara ma na ziemię wrócić,
Nim mój mąż sam mi ją powróci z nieba
Po opuszczeniu ziemi? Daj mi radę.
Niestety! Że też nieba mogą nękać
Tak mdłą istotę jak ja! Nic nie mówisz?
Nie maszże żadnej pociechy, żadnego
Na to lekarstwa?

MARTA
Mam ci, a to takie:
Romeo na wygnaniu i o wszystko
Można iść w zakład, że cię już nie przyjdzie
Nagabać więcej, chybaby ukradkiem.
Ponieważ tedy rzecz tak stoi, sądzę,
Że nic lepszego nie masz do zrobienia
Jak pójść za hrabię. Dalipan, to wcale,
Co się nazywa, przystojny mężczyzna.
Romeo kołek przy nim; orzeł, pani,
Nie ma tak pięknych, żywych, bystrych oczu
Jak Parys. Nazwij mię hetką-pętelką,
Jeśli nie będziesz z kretesem szczęśliwa
W tym nowym stadle, bo ono jest stokroć
Lepsze niż pierwsze; a choćby nie było,

To i tak tamten pierwszy już nie żyje;
Tak jakby nie żył; przynajmniej dla ciebie,
Skoro, choć żyje, nie masz zeń pożytku.

JULIA
Czy z serca mówisz?

MARTA
Ba, i z duszy całej!
Jeśli nie z serca i nie z duszy, to je
Przeklnij oboje.

JULIA
Amen!

MARTA
Na co amen?

JULIA
Bardzoś mi przez to dodała otuchy,
Idźże i powiedz teraz mojej matce,
Że, naraziwszy się na gniew rodzica,
Poszłam do celi ojca Laurentego
Odprawić spowiedź i wziąć rozgrzeszenie.

MARTA
O, idę! to mi pięknie i roztropnie.
wychodzi

JULIA
Stara niecnoto! Zdradziecki szatanie!
Cóż jest niegodniej, cóż jest większym grzechem:

Czy tak mię kusić do krzywoprzysięstwa?
Czy lżyć małżonka mego tymiż usty,
Którymi tyle razy go pod niebo
Wznosiłaś chwaląc? Precz, uwodzicielko!
Serce me odtąd zamknięte dla ciebie.
Pójdę poprosić ojca Laurentego,
By mi dał radę, a jeśli żadnego
Na tę przeciwność nie będzie sposobu,
Znajdę moc w sobie wstąpienia do grobu.
wychodzi

AKT CZWARTY

Scena I

Cela Ojca Laurentego. OJCIEC LAURENTY i PARYS.

OJCIEC LAURENTY
W ten czwartek zatem? To bardzo pośpiesznie.

PARYS
Mój teść, Kapulet, życzy sobie tego;
A ja powodu nie mam, by odwlekać.

OJCIEC LAURENTY
Nie znasz pan, mówisz, uczuć swojej przyszłej;
Krzywa to droga, ja takich nie lubię.

PARYS
Bez miary płacze nad śmiercią Tybalta,
Małom jej przeto mówił o miłości,
Bo Wenus w domu łez się nie uśmiecha.
Ojciec jej, mając to za niebezpieczne,
Że się tak bardzo poddaje żalowi,
W mądrości swojej przyśpiesza nasz związek,
By zatamować źródło tych łez, które
W odosobnieniu cieką za obficie.
A w towarzystwie prędzej mogą ustać.
Znasz teraz, ojcze, powód tej nagłości.

OJCIEC LAURENTY
na stronie

Obym mógł nie znać powodów do zwłoki!
głośno

Patrz, hrabio, oto twa przyszła nadchodzi.
Wchodzi JULIA.

PARYS
Szczęsny traf dla mnie, piękna przyszła żono!

JULIA
Być może, przyszłość jest nieodgadniona.

PARYS
To „może” ma być już w ten czwartek z rana.

JULIA
Co ma być, będzie.

OJCIEC LAURENTY
Prawda to zbyt znana.

PARYS
Przyszłaś się, pani, spowiadać przed ojcem?

JULIA
Mówiąc to, panu bym się spowiadała.

PARYS
Nie zaprzecz przed nim, pani, że mię kochasz.

JULIA
Że jego kocham, to wyznam i panu.

PARYS
Wyznasz mi także, tuszę, że mnie kochasz.

JULIA
Gdyby tak było, większą by to miało
Wartość wyznane z daleka niż w oczy.

PARYS
Biedna! łzy bardzo twarz twą oszpeciły.

JULIA
Niewielkie przez to odniosły zwycięstwo;
Dosyć już była uboga przed nimi.

PARYS
Tym słowem bardziej ją krzywdzisz niż łzami.

JULIA
Nie jest to krzywda, panie, ale prawda,
I w oczy sobie ją mówię.

PARYS
Twarz twoja
Do mnie należy, a ty jej uwłaczasz.

JULIA
Nie przeczę; moja bowiem była inna.
Maszli czas teraz, mój ojcze duchowny,
Czyli też mam przyjść wieczór po nieszporach?

OJCIEC LAURENTY
Nie brak mi teraz czasu, smętne dziecię.
Racz, panie hrabio, zostawić nas samych.

PARYS
Niech mię Bóg broni świętym obowiązkom
Stać na przeszkodzie! Julio, w czwartek z rana
Przyjdę cię zbudzić. Bądź zdrowa tymczasem
I przyjm pobożne to pocałowanie.
wychodzi

JULIA
O! zamknij, ojcze, drzwi; a jak je zamkniesz,
Przyjdź płakać ze mną. Nie ma już nadziei!
Nie ma ratunku! Nie ma ocalenia!

OJCIEC LAURENTY
Ach, Julio! Znam twą boleść; mnie samego
Nabawia ona prawie odurzenia,
Słyszałem, i nic tego nie odwlecze,
Że w przyszły czwartek wziąć masz ślub z tym hrabią

JULIA
Nie mów mi, ojcze, że o tym słyszałeś;
Chyba, że powiesz, jak tego uniknąć,
Jeżeli w swojej mądrości nie znajdziesz
Żadnego na to środka, to przynajmniej
Postanowienie moje nazwij mądrym,
A w tym sztylecie zaraz znajdę środek.
Bóg złączył moje i Romea ręce,
Ty nasze dłonie; i nim ta dłoń, świętą

Pieczęcią twoją z Romeem spojona,
Inny akt stwierdzi, nim to wierne serce
W zdradzieckim buncie odda się innemu,
To ostrze zada śmierć sercu i dłoni.
Daj mi więc jaką radę, zaczerpniętą
Z długoletniego doświadczenia twego,
Albo bądź świadkiem, jak ten nóż rozstrzygnie
Sprawę pomiędzy mną a moim losem,
Wnet zaradzając temu, czego ani
Wiek, ani rozum nie mógł doprowadzić
Do rozwiązania zgodnego z honorem.
Mów prędko; pilno mi wstąpić do grobu,
Jeśli mi powiesz, że nie ma sposobu.

OJCIEC LAURENTY
Stój, córko! Mam ja w myśli pewien środek,
Wymagający równie rozpaczliwej
Determinacji, jak jest rozpaczliwe
To, czemu chcemy zapobiec. Jeżeli,
Dla uniknięcia małżeństwa z Parysem,
Masz siłę woli odjąć sobie życie,
To się odważysz snadź na coś takiego,
Co będąc tylko podobnym do śmierci
Uwolni cię od hańby, jakiej chciałaś
Ujść przez zadanie jej sobie naprawdę.
Maszli odwagę, toć wskażę ten środek.

JULIA
O! każ mi, zamiast być żoną Parysa,
Skoczyć ze szczytu wieży; w rozbójniczych
Gościć jaskiniach, w legowiskach węży,

Zamknij mię w jedną klatkę z niedźwiedziami
Albo mię wepchnij nocą do kostnicy,
Zewsząd pokrytej szczątkami szkieletów,
Poczerniałymi kośćmi i czaszkami,
Każ mi wejść żywcem w grób świeżo kopany
I w jeden całun z trupem się obwinąć;
Wszystko to dawniej dreszcz budziło we mnie,
Ale bez trwogi uczynię to zaraz,
Bylebym tylko pozostała czystą
Małżonką mego lubego kochanka.

OJCIEC LAURENTY
Słuchaj więc; idź do domu, bądź wesoła,
Przystań na związek z hrabią. Jutro środa;
Staraj się jutro na noc zostać sama,
Niech Marta nie śpi ten raz w twym pokoju.
Masz tu flaszeczkę; weźmiesz ją do łóżka
I filtrowany likwor ten wypijesz;
A wnet po wszystkich żyłach cię przebiegnie
Usypiający dreszcz, który owładnie
Wszelką żywotną funkcją; wszystkie pulsa
Wstrzymają w tobie swe zwyczajne bicie;
Ni dech, ni ciepło nie wskaże, że żyjesz.
Róże ust twoich i policzków zbledną
Jak popiół; oczu zasłony zapadną,
Jak gdy dłoń śmierci zakrywa dzień życia;
Każdy twój członek pozbawiony władzy
Zdrętwieje, stęgnie, zziębnie jak u trupa.
I w tym pozornym stanie nagłej śmierci
Zostawać będziesz czterdzieści dwie godzin,
Wtedy się ockniesz jak ze snu błogiego.

Gdy więc nazajutrz z rana narzeczony
Przyjdzie cię zbudzić, znajdzie cię umarłą;
Po czym, jak każe zwyczaj, przystrojona
W godowe szaty, w odsłoniętej trumnie,
Złożoną będziesz pod owym sklepieniem,
Gdzie leżą wszyscy ze krwi Kapuletów.
Uwiadomiony tymczasem przeze mnie
O naszym planie, Romeo przybędzie;
Wraz ze mną czekać będzie w owym lochu
Na twe ocknienie i tej samej nocy
Uprowadzi cię skrycie do Mantui.
To cię uchroni od hańby grożącej;
Jeśli brak woli lub niewieścia bojaźń
Od wykonania tego cię nie wstrzyma.

JULIA
O, daj mi, daj mi! nie mów o bojaźni!

OJCIEC LAURENTY
Masz, idź, bądź niewzruszona i szczęśliwa
W tym przedsięwzięciu! Wyprawię natychmiast
Jednego z naszych braci do Mantui
Z listem do twego męża.

JULIA
O nadziejo!
Ty mi bądź bodźcem, a hasłem Romeo!
Bądź zdrów, mój ojcze!
odchodzi

Scena II

Pokój w domu Kapuletów. Wchodzą KAPULET, PANI KAPULET, MARTA i słudzy.

KAPULET
do SŁUŻĄCEGO

Proś te osoby, co tu są spisane.
SŁUŻĄCY wychodzi.
A waść dwudziestu biegłych zbierz kucharzy.

DRUGI SŁUŻĄCY
Nie będzie zły ani jeden, jaśnie panie, bo się przekonam wprzód o każdym, czy umie sobie oblizywać palce.

KAPULET
A to na co?

DRUGI SŁUŻĄCY
Zły to kucharz, jaśnie panie, co nie oblizuje sobie palców, o którym się więc przekonam, że tego nie umie, tego nie sprowadzę.

KAPULET
Ruszaj!
Wychodzi SŁUŻĄCY.

Wątpię, czy wszystko na czas wygotujem.
Bodaj cię! Prawdaż to, że Julia poszła
Do ojca Laurentego?

MARTA
Poszła, panie.

KAPULET
To dobrze; może on co dla niej wskóra.
Cięta, uparta to skóra na buty.
Wchodzi JULIA.

MARTA
Patrz pan, jak raźnie wraca od spowiedzi.

KAPULET
No, sekutnico, gdzie żeś to bywała?

JULIA
Gdzie mię żałować nauczono, panie,
Za grzech uporu i nieposłuszeństwa
Naprzeciw woli twojej. Świątobliwy
Kapłan Laurenty kazał mi się rzucić
Do twych nóg i o przebaczenie prosić.
Przebacz mi, ojcze! będę już uległa.

KAPULET
Niech tam kto pójdzie prosić pana hrabię:
Jutro mieć muszę spleciony ten węzeł.

JULIA
Spotkałam hrabię w celi Laurentego
I okazałam mu miłość, jak mogłam,
Nie przekraczając granicy skromności.

KAPULET
To co innego; tak, to dobrze, powstań;
Tak być powinno, tak córce przystoi.

Prosić tu hrabię, żeby przyszedł zaraz.
Dalipan, święty to człek z tego mnicha;
Słusznie mu całe miasto cześć oddaje.

JULIA
Marto, pójdź ze mną do mego pokoju.
Wszak mi pomożesz przymierzyć przyborów,
Jakie na jutro uznasz za stosowne?

PANI KAPULET
Po co dziś? jutro będzie dosyć czasu.

KAPULET
Idź z nią, idź, jutro pójdziem do kościoła.
JULIA z MARTĄ wychodzi.

PANI KAPULET
Nie wiem, czy zdążym z przygotowaniami;
Już wieczór.

KAPULET
Nie troszcz się; dojrzę wszystkiego
I wszystko będzie dobrze, za to ręczę.
Idź do Juleczki, pomóż jej się przebrać.
Ja się tej nocy nie położę; będę
Na ten raz pełnił urząd gospodyni.
Hej, służba! Cóż to? wszyscy się rozeszli?
Mniejsza z tym, pójdę sam hrabię uprzedzić
O zaszłej zmianie. Lekko mi na sercu,
Że się ten kozioł przecie opamiętał.
Wychodzą.

Scena III

Pokój Julii. Wchodzi JULIA i MARTA.

JULIA
Tak, ten strój wezmę. Ale, złota nianiu,
Proszę cię, zostaw mię na tę noc samą,
Bo dużo muszę pacierzy odmówić
Dla uproszenia sobie względów niebios
Nad moim stanem, jak wiesz, pełnym grzechu.
Wchodzi PANI KAPULET.

PANI KAPULET
Takeś zajęta? Mamże ci dopomóc?

JULIA
Nie, pani; jużeśmy we dwie wybrały,
Co mi na jutro może być potrzebne.
Pozwól, bym teraz sama pozostała,
I niechaj Marta spędzi tę noc z tobą.
Pewnam, że wszyscy macie dość roboty
Przy tym tak nagłym obchodzie.

PANI KAPULET
Dobranoc!
Połóż się, spocznij; potrzebujesz tego.
Wychodzą PANI KAPULET i MARTA.

JULIA
Dobranoc! Bóg wie, kiedy się zobaczym.
Zimny dreszcz trwogi na wskroś mię przejmuje

I jakby mrozi we mnie ciepło życia.
Zawołam na nie, by mnie pokrzepiły;
Nianiu! I po cóż tu ona? Straszliwy
Ten czyn wymaga właśnie samotności.
Ha! pójdź, flakonie!
Gdyby jednakże ten płyn nie skutkował?
Miałażbym gwałtem z hrabią być złączona?
Nie, nie, ucieczka w tym: leż tu w odwodzie.
kładzie na stole sztylet

A gdyby też to miała być trucizna,
Którą mi ksiądz ten zręcznie śmierć chce zadać,
By ujść zarzutu, że dał ślub kobiecie,
Którą już pierwej zaślubił z kim innym?
To by być mogło; ale nie, tak nie jest,
Bo jego świętość jest wypróbowana,
I nawet myśli tej nie chcę przypuszczać.
Lecz gdybym w grobie się ocknęła pierwej,
Nim mię Romeo przyjdzie oswobodzić?
To byłoby okropnie!
Nie udusiłażbym się wśród tych sklepień,
Gdzie nigdy zdrowe nie wnika powietrze,
I nie umarłażbym wprzód, nim Romeo
Przyjdzie na pomoc? A choćbym i żyła,
Czyliżby straszny wpływ nocy i śmierci,
Którą dokoła będę otoczona,
Obok wrażenia, jakie sprawić musi
Samaż miejscowość tego sklepionego
Starożytnego lochu, w którym kości
Zmarłych mych przodków od lat niepamiętnych
Nagromadzone leżą, kędy świeżo

Złożony Tybalt gnije pod całunem;
I kędy nocą, o pewnych godzinach,
Duchy, jak mówią odbywają schadzki;
Niestety! czyliżby prawdopodobnie
To wszystko, gdybym wcześniej się ocknęła,
A potem zapach trupi, krzyk podobny
Do tego, jaki wydaje ów korzeń
Ziela pokrzyku, gdy się go wyrywa,
Krzyk wprawiający ludzi w obłąkanie,
Czyliżby wszystko to, w razie ocknienia
Nie pomieszało mi zmysłów? Czyliżbym
Po szalonemu nie igrała wtedy
Z kośćmi mych przodków? nie poszła się pieścić
Z trupem Tybalta? i w tym rozstrojeniu
Nie rozbiłażbym sobie rozpaczliwie
Głowy piszczelą którego z pradziadów
Jak pałką? Patrzcie! patrzcie! zdaje mi się,
Że duch Tybalta widzę ścigający
Romea za to, że go wygnał z ciała.
Stój! stój, Tybalcie!
przytyka flakon do ust
Do ciebie, mój luby,
Spełniam ten toast zbawienia lub zguby.
wypija napój i rzuca się na łóżko

Scena IV

Sala w domu Kapuletów. Wchodzą PANI KAPULET i MARTA.

PANI KAPULET
Weź te półmiski i wydaj korzenie.

MARTA
Piekarz o pigwy woła i daktyle.
Wchodzi KAPULET.

KAPULET
Śpieszcie się, śpieszcie! Już drugi kur zapiał;
Poranny dzwonek ozwał się: to trzecia,
Dojrzyj ciast, moja Marto, nie szczędź przypraw.

MARTA
Co to za wścibstwo? Idźże się pan przespać.
Dalipan, jutro się nam rozchorujesz
Z tego niewczasu.

KAPULET
Ani krzty! Do licha!
Nie wysypiałem się dla spraw mniej ważnych,
A przecież nigdy nie zachorowałem.

PANI KAPULET
Wiem ci ja dobrze, wiem, umiał jegomość
Swojego czasu myszkować; lecz teraz
Ja czuwam nad tym, abyś pan nie czuwał.
Wychodzą Pani KAPULET i MARTA.

KAPULET
Zazdrosna sztuka!
Wchodzą słudzy z rożnami, koszami i drzewem.

Hej! co tam niesiecie?

PIERWSZY SŁUGA
Rzeczy do kuchni, ale nie wiem jakie.

KAPULET
Śpiesz się.
Wychodzi SŁUŻĄCY.

Idź, wasze, suchszych szczap narąbać;
Piotr ci kloc wskaże po temu.

DRUGI SŁUGA
Jeżeli
O kloca idzie, to dość mnie samego;
Nie potrzebuję się zwracać do Piotra.
wychodzi

KAPULET
Masz słuszność; żywo! Wesołe ladaco!
Sam będziesz klocem. Dalipan, już dnieje
I hrabia będzie tu zaraz z muzyką.
Tak przyrzekł.
Słychać muzykę.

Otóż idzie; już go słychać.
Hej! Żono! Marto! Chodźcie tu! Hej! Marto!
Wchodzi MARTA.

Idź, obudź Julkę, ubierz ją co żywo.
Ja pogawędzę tymczasem z Parysem.
Śpiesz się, nie marudź; pan młody już przyszedł.

Co tchu się zwijaj.
wychodzi

Scena V

Pokój Julii. JULIA w łóżku. Wchodzi MARTA.

MARTA
Panienko! Julciu! Jak się to zaspało!
Wstawaj gołąbku! Wstawaj! Wstydź się, śpiochu!
Panienko! duszko! rybko! Ani mrumru!
Chcesz, widzę, wyspać się za cały tydzień.
Jakbyś wiedziała, że ci hrabia Parys
Następnej nocy nie da oka zmrużyć.
Odpuść mi, Panie, amen! Jak śpi smacznie!
Muszę ją jednak zbudzić. Julciu! Julciu!
Niech no cię hrabia Parys tak zastanie,
To się dopiero zerwiesz. Cóż to? w sukni?
Jużeś ubrana i znów się pokładłaś?
Dosyć już tego! Julciu! Panno Julio! –
Ha! przez Bóg żywy! Na pomoc! na pomoc!
Ona nie żyje! O, ja nieszczęśliwa!
Po co mi było się rodzić? Na pomoc!
Choć trochę akwawity! Panie! Pani!
Wchodzi PANI KAPULET.

PANI KAPULET
Co za hałas?

MARTA

O dniu niefortunny!

PANI KAPULET
Mów, co się stało?

MARTA
Patrz, pani.

PANI KAPULET
O nieba!
O moje dziecię! o moja pociecho!
Wstań! odżyj albo umrę razem z tobą!
Na pomoc! wołaj pomocy!
Wchodzi KAPULET.

KAPULET
Co za guzdralstwo! Pan młody już czeka.

MARTA
Ona nie żyje; rozstała się z życiem!
O dniu żałosny!

PANI KAPULET
O dniu opłakany!
Ona nie żyje, nie żyje, nie żyje!

KAPULET
Puśćcie mię, niech zobaczę... Jak lód zimna;
Krew w niej zastygła; członki jej zdrętwiały...
Dawno już życie z tych ust uleciało.
Śmierć ją zwarzyła, jak mróz najpiękniejszy
Pierwiosnek w maju. Nieszczęsny ja starzec!

MARTA
O niefortunny dniu!

PANI KAPULET
O dniu boleści!

KAPULET
Śmierć ta, niszcząca wszystkie me nadzieje,
Głos mi tamuje i zamyka usta.
Wchodzi OJCIEC LAURENTY i PARYS z muzykantami.

OJCIEC LAURENTY
Czy panna młoda już jest w pogotowiu
Iść do kościoła?

KAPULET
Iść, ale nie wrócić;
O synu, w wilię dnia twojego ślubu
Śmierć zaślubiła twą oblubienicę.
Patrz, oto leży ten kwiat w jej uścisku.
Śmierć jest mym zięciem, śmierć jest mym dziedzicem.
Umrę i wszystko jej oddam, bo wszystko
Oddaje śmierci, kto oddaje ducha.

PARYS
Tak dawnom wzdychał do tego poranku
I takiż widok czekał mię u mety!

PANI KAPULET
Dniu nienawistny, przeklęty! ohydny,
Stokroć obmierzły, jakiemu równego
W obiegu swoim czas jeszcze nie widział!

Jedno mieć tylko, jedno biedne dziecko,
Jedną uciechę i jedną pociechę.
I tę zabiera śmierć nielitościwa!

MARTA
O smutny, smutny dniu! o dniu żałosny!
Najopłakańszy, najniefortunniejszy,
Jaki widziałam w życiu kiedykolwiek!
O dniu! o smutny dniu! O dniu żałosny!
Nie było nigdy jeszcze dnia takiego.
O! stokroć smutny dniu, stokroć żałosny!

PARYS
Okrutna, sroga świętokradzka śmierci!
Tyś mię podeszła, obdarła, zgnębiła.
Przez ciebiem niebo stracił, okrutnico!
O Julio! luba! życie! już nie życie.
Nie mniej jednakże luba i po śmierci!

KAPULET
Zawistny, twardy, niecny, zbójczy losie!
Po cóż ci, po co było tak tyrańsko
Wniwecz obracać naszą uroczystość!
O moje dziecko! raczej duszo moja,
Nie moje dziecko, bo dziecko jest trupem;
I wraz z nim cała pociech mych ostoja,
Cały wdzięk życia stał się śmierci łupem!

OJCIEC LAURENTY
Przestańcie! Rozpacz nie leczy rozpaczy.
Nadobne dziecię to było własnością

Zarówno nieba, jak i waszą, niebo
Zabrało swoją część; tym lepiej dla niej,
Wyście nie mogli waszej części ziemskiej
Ustrzec od śmierci, ale część jej lepszą
Niebo zachowa w wiekuistym życiu.
Jej wywyższenie było szczytem waszych
Życzeń i dążeń. W nim zakładaliście
Swój raj na ziemi i płaczecie teraz,
I rozpaczacie, widząc ją wzniesioną
Ponad obłoki do istnego raju?
O, zła to miłość jęczeć z żalu wtedy,
Kiedy tym, których kochamy, jest dobrze.
Nie ta dziewica dobrze poszła za mąż,
Co długie lata przeżyła w zamęściu,
Lecz ta, co młodo zamężną umiera.
Połóżcie tamę łzom i umaiwszy
To piękne ciało liśćmi rozmarynu,
Każcie je, wedle zwyczaju, niebawem
W świątecznych szatach zanieść do kościoła.
Świętymi wprawdzie są boleści prawa,
Przecież rozsądek z łez się naigrawa.

KAPULET
Cośmy na gody poprzysposabiali,
To musi teraz posłużyć na pogrzeb;
Weselna uczta zamieni się w stypę,
Dźwięk strun w jęk dzwonów, pieśni w smętne treny,
Mirtowy wieniec martwą skroń otoczy,
Słowem, wszystko się w opak przeistoczy.

OJCIEC LAURENTY

Wyjdźcie stąd, państwo, i ty, hrabio, także.
Niech się gotuje każdy odprowadzić
Te piękne zwłoki na wieczny spoczynek.
Snadź niebo na was o coś zagniewane;
Nie jątrzcież jego gniewu jeszcze gorzej
Oporem przeciw świętej woli bożej.
Wychodzą KAPULET, PANI KAPULET, PARYS i OJCIEC LAURENTY.

PIERWSZY MUZYKANT
Trzeba nam podobno schować dudy w miech i wynieść się za drzwi.

MARTA
Tak, tak, schowajcie swoje instrumenta,
Poczciwi ludzie, nie ma tu co robić.

DRUGI MUZYKANT
Możeć się jeszcze co znajdzie.
Wchodzi PIOTR.

PIOTR
Zagrajcie mi na basetli, panowie muzykanci, zagrajcie mi na basetli, jeżeli mi dobrze życzycie.

PIERWSZY MUZYKANT
Dlaczego na basetli?

PIOTR
Bo moja dusza gra teraz na drumli. Zagrajcie mi co smętnie skocznego dla rozweselenia.

PIERWSZY MUZYKANT
Daj nam waść pokój; nie pora teraz do gędźby.

PIOTR
Nie chcecie zatem?

PIERWSZY MUZYKANT
Nie.

PIOTR
Czekajcie, zapłacę wam za to.

PIERWSZY MUZYKANT
Czym takim?

PIOTR
Nie brzęczącą monetą, jak mi Bóg miły! ale bitą monetą; monetą godną rzępołów.

PIERWSZY MUZYKANT
To my się waćpanu równą monetą odpłacimy; monetą godną lokajów.

PIOTR
Wprzód ja wam lokajską klingą zagram po brzuchu.

DRUGI MUZYKANT
Schowaj, waćpan, swój rożen, a wydobądź lepiej swój dowcip.

PIOTR
Strzeżcie się ostrza mego dowcipu, bo was przeszyje na wylot. Baczność!
śpiewa

Gdy z piersi płynie jęk,

A serce żal zakrwawia,
Muzyki srebrny dźwięk...
Dlaczego srebrny dźwięk? Dlaczego muzyki srebrny dźwięk? Cóż waść na to, mości Barania Kiszko?

PIERWSZY MUZYKANT
Już ci dlatego, że srebro ma dźwięk miły.

PIOTR
Pleciesz! a waść co na to, mości Klawicymbale?

DRUGI MUZYKANT
Dlatego sądzę, że muzykanci grają za srebro.

PIOTR
Pleciesz także! A waść co o tym sądzisz, mości Kaleczyuchu?

TRZECI MUZYKANT
Nie wiem doprawdy, co o tym sądzić.

PIOTR
O, przepraszam, zapomniałem, że jesteś śpiewakiem. No, to ja powiem za ciebie: „Muzyki srebrny dźwięk" mówi się dlatego, że muzykanci rzadko kiedy złoto za muzykę dostają.
wychodzi śpiewając

Muzyki srebrny dźwięk
Natychmiast ulgę sprawia.

PIERWSZY MUZYKANT
Cóż to za bezczelny łotr z tego hultaja!

DRUGI MUZYKANT

Pal go kaci! Zejdźmy tam na dół wmieszać się między orszak żałobny i czekać, rychło co spadnie z półmiska.

Wychodzą.

AKT PIĄTY

Scena I

Mantua. Ulica. Wchodzi ROMEO.

ROMEO
Jeżeli można ufać sennym wróżbom,
Wkrótce mię czeka jakaś wieść radosna.
Król mego łona oddycha swobodnie
I duch mój przez dzień cały niezwyczajnie
Lekkim nad ziemię wznosi się polotem:
Śniłem, że moja ukochana przyszła
I że znalazła mię nieżywym (dziwny
Sen, co pozwala myśleć umarłemu!),
Lecz ona swymi pocałowaniami
Tyle tchu wlała w martwe moje usta,
Żem nagle odżył i został cesarzem.
Ach, jakże słodką jest miłość naprawdę,
Kiedy jej mara taką rozkosz sprawia!
Wchodzi BALTAZAR.

Wieści z Werony! – Cóż tam, Baltazarze?
Czy mi przynosisz list od Laurentego?
Co robi Julia? Czy zdrów jest mój ojciec?
Jak się ma Julia? Po raz drugi pytam.
Bo nie ma złego, jeśli jej jest dobrze.

BALTAZAR
Wszystko więc dobrze, bo jej już źle nie jest;
Ciało jej leży w lochach Kapuletów,
A duch jej gości między aniołami.
Widziałem, jak ją złożono do sklepień,
I wziąłem pocztę, aby o tym panu
Donieść czym prędzej. Przebacz pan, że taką
Złą wieść przynoszę; wszakże uwiadomić
Pana o wszystkim byłem w obowiązku.

ROMEO
Maż to być prawdą? Drwię sobie z was, gwiazdy!
Wszak wiesz, gdzie mieszkam? Przynieś mi papieru
I atramentu, idź potem na pocztę
Zamienić konie. Wyjeżdżam tej nocy.

BALTAZAR
Błagam cię, panie, zachowaj cierpliwość;
Wyglądasz blado, ponuro i wzrok twój
Coś niedobrego zapowiada.

ROMEO
Cicho.
Mylisz się; zostaw mię, zrób, com rozkazał.
Czy nie masz listu od księdza?

BALTAZAR
Nie, panie.

ROMEO
Mniejsza więc o to. Idź zamówić konie;

Wkrótce pospieszę za tobą.
Wychodzi BALTAZAR.

Tak Julio!
Tej jeszcze nocy spocznę przy twym boku:
O środek tylko idzie. O, jak prędko
Zły zamiar wnika w myśl zrozpaczonego!
Gdzieś niedaleko stąd mieszka aptekarz:
Przed paru dniami widziałem go, pomnę,
Jak zasępiony, w podartym odzieniu,
Przebierał zioła; zapadłe miał oczy.
Ciało od wielkiej nędzy jak wiór wyschłe.
W nikczemnym jego sklepiku żółw wisiał;
Wypchany aligator obok szczątków
Dziwnego kształtu ryb; na jego półkach
Leżała tu i ówdzie zbieranina
Próżnych flasz, słojów, zielonych czerepów,
Pęcherzów, stęchłych nasion; resztki sznurków
I zapleśniałe kawałki lukrecji.
Na widok tego pomyślałem sobie:
Komu by była potrzebna trucizna,
Której w Mantui sprzedaż gardłem karzą,
Niechajby przyszedł do tego hołysza,
On by dostarczył mu jej. Myśl ta była,
Niestety! wróżbą mej potrzeby własnej;
Sam w niej dziś jestem i tenże sam człowiek
Z potrzeby będzie musiał jej zaradzić.
Jeżeli się nie mylę, tu on mieszka;
Z powodu święta kram jego zamknięty –
Hej! aptekarzu!
Wchodzi APTEKARZ.

APTEKARZ
Któż to woła takim
Donośnym głosem?

ROMEO
Zbliż się tu, człowieku,
Widzę, że jesteś w niezamożnym stanie;
Weź te czterdzieści dukatów, a daj mi
Drachmę trucizny takiej, co by mogła
Po wszystkich żyłach rozejść się od razu
I nienawistne życie odjąć temu,
Co jej zażyje; co by tak gwałtownie
Wygnała oddech z piersi, jak gwałtownie
Lontem dotknięty proch wypędza pocisk
Z czeluści działa.

APTEKARZ
Mam ja taki środek;
Ale w Mantui prawo śmiercią karze
Każdego, co się waży go udzielić.

ROMEO
Tak bardzo jesteś biedny, tak cię srodze
Los upośledza i boisz się umrzeć?
Głód z twych lic, z oczu patrzy niedostatek;
Łatana nędza wisi na twym grzbiecie;
Świat ci nie sprzyja ani prawo świata,
Bo świat nie dajeć prawa być bogatym;
Drwij więc z praw, przyjm to i przestań być biednym.

APTEKARZ

Ubóstwo, a nie chęć skłania mnie ulec.

ROMEO
Ubóstwo twoje też, nie chęć opłacam.

APTEKARZ
Weź pan to, rozczyń w jakimkolwiek płynie
I płyn ten wypij, a choćbyś miał siłę
Dwudziestu ludzi, wnet wyzioniesz ducha!

ROMEO
Oto masz złoto, tę truciznę zgubną
Dla duszy ludzkiej, która więcej zabójstw
Na tym obmierzłym świecie dokonywa
Niż owe marne preparata, których
Pod karą śmierci sprzedać ci nie wolno.
Nie ty mnie, ja ci sprzedałem truciznę.
Bądź zdrów: kup strawy i odziej się w mięso.
Kordiale, nie trucizno, pójdź mi służyć
U grobu Julii, bo tam cię mam użyć.
Rozchodzą się.

Scena II

Cela Ojca Laurentego. OJCIEC LAURENTY sam.

BRAT JAN
za sceną
Otwórz, wielebny ojcze franciszkanie.

OJCIEC LAURENTY
Toć nie czyj inny głos, jak brata Jana.
otwiera drzwi

Witaj z Mantui! Cóż Romeo? Maszli
Ustną odpowiedź jego czy na piśmie?
Wchodzi BRAT JAN.

BRAT JAN
Kiedy za jednym bosym zakonnikiem
Naszej reguły, który miał iść ze mną
I był przy chorym, poszedłem na miasto
I jużem znalazł go, miejscy pachołcy
Podejrzewając, żeśmy byli w domu
Tkniętym zarazą, opieczętowali
Drzwi i nie chcieli nas puścić na zewnątrz.
Nie mogłem się więc udać do Mantui.

OJCIEC LAURENTY
Któż tedy zaniósł mój list do Romea?

BRAT JAN
Nikt go nie zaniósł – oto jest; nie mogłem
Ani go posłać do Mantui, ani
Wam go odesłać, tak nas pilnowano.

OJCIEC LAURENTY
Nieszczęsny trafie! ten list był tak ważny!
Niedoręczenie go może fatalne
Skutki sprowadzić. Biegnij, bracie Janie;
Postaraj no się gdzie o drąg żelazny
I tu go przynieś.

BRAT JAN
Natychmiast przyniosę.

OJCIEC LAURENTY
Muszę czym prędzej spieszyć do grobowca.
W ciągu trzech godzin Julia się przebudzi.
Gniewać się na mnie będzie, żem Romea
Nie uwiadomił o tym, co się stało;
Ale napiszę do niego raz jeszcze
I tu ją skryję do jego przybycia.
Biedny ty prochu: w grobie już za życia!
wychodzi

Scena III

Cmentarz, na nim grobowiec rodziny Kapuletów. Wchodzi PARYS z PAZIEM, niosącym kwiaty i pochodnię.

PARYS
Daj mi pochodnię, chłopcze, i idź z Bogiem,
Lub zgaś ją, nie chcę, żeby mię widziano.
Idź się położyć owdzie pod cisami
I ucho przyłóż do ziemi, a skoro
Usłyszysz czyje kroki na cmentarzu,
Którego ryty grunt łatwo je zdradzi,
Wtedy zagwizdnij na znak, że ktoś idzie.
Daj mi te kwiaty. Idź, zrób, jakem kazał.

PAŹ

Straszno mi będzie pozostać samemu
Wpośród cmentarza; jednakże spróbuję.
oddala się

PARYS
Drogi mój kwiecie, kwieciem posypuję
Twe oblubieńcze łoże. Baldachimem
Twym są, niestety, głazy i proch marny,
Które ożywczą wodą co noc zroszę
Lub, gdy jej braknie, łzami mej rozpaczy
I tak co nocy na twoją mogiłę
Kwiat będę sypał i gorzkie łzy ronił.
PAŹ gwiżdże.

Chłopiec mój daje hasło; ktoś się zbliża.
Czyjaż to stopa śmie nocą tu zmierzać
I ten żałobny mój przerywać obrzęd?
Z pochodnią nawet! Odstąpmy na chwilę.
oddala się

Wchodzi ROMEO i BALTAZAR z pochodnią, oskardem itp.

ROMEO
Podaj mi oskard i drąg. Weź to pismo;
Oddasz je memu ojcu jak najraniej.
Daj no pochodnię. Co bądź tu usłyszysz
Albo zobaczysz, pamiętaj, jeżeli
Miłe ci życie, pozostać z daleka
I nie przerywać biegu mej czynności.
W to łoże śmierci wejść chcę częścią po to,
Aby zobaczyć tę, co w nim spoczywa,
Lecz głównie po to, aby zdjąć z jej palca

Szacowny pierścień, który mi do czegoś
Ważnego nieodbicie jest potrzebny.
Idź więc, zastosuj się do moich życzeń.
Gdybyś zaś, płochą zdjęty ciekawością,
Wrócił podglądać dalsze moje kroki,
Na Boga, wszystkie kości bym ci roztrząsł
I posiał nimi ten niesyty cmentarz.
Umysł mój dziko jest usposobiony,
Niepowstrzymaniej i nieubłaganiej
Niż głodny tygrys lub wzburzone morze.

BALTAZAR
Odejdę, panie, i będęć posłuszny.

ROMEO
Okażesz mi tym przyjaźń. Weź ten worek,
Poczciwy chłopcze, bądź zdrów i szczęśliwy.

BALTAZAR
na stronie

Bądź jak bądź, stanę tu gdzie na uboczu,
Bo mu zły jakiś zamiar patrzy z oczu.
oddala się

ROMEO
Czarna pieczaro, o! ty wnętrze śmierci,
Tuczne najdroższym na tej ziemi szczątkiem,
Otwórz mi swoją zardzewiałą paszczę,
A ja ci nową żertwę rzucę za to.
odbija drzwi grobowca

PARYS
To ten wygnany, zuchwały Monteki,
Co zamordował Tybalta, po którym
Żal, jak mniemają, sprowadził śmierć Julii;
I on tu przyszedł knuć jeszcze zamachy
Przeciw umarłym; muszę go powstrzymać,
postępuje naprzód

Spuść świętokradzką dłoń, niecny Monteki!
Możeż się zemsta aż za grób rozciągać?
Skazany zbrodniu, aresztuję ciebie;
Bądź mi posłuszny i pójdź; musisz umrzeć.

ROMEO
Muszę, zaprawdę, i po tom tu przyszedł.
Młodzieńcze, nie drażń człowieka w rozpaczy;
Zostaw mię, odejdź; pomyśl o tych zmarłych
I zadrżyj. Błagam cię na wszystkie względy,
Nie wal nowego grzechu na mą głowę,
Przyprowadzając mię do pasji; odejdź!
Na Boga, życzę ci lepiej niż sobie;
Bom ja tu przyszedł przeciw sobie zbrojny.
O! odejdź, odejdź! żyj i powiedz potem:
„Z łaski szaleńca cieszę się żywotem".

PARYS
Za nic mam wszelkie twoje przełożenia
I aresztuję cię jako złoczyńcę.

ROMEO
Wyzywasz moją wściekłość, broń się zatem.
Walczą.

PAŹ
O nieba! biją się, biegnę po wartę.
wychodzi

PARYS
padając

Zabity jestem. O, jeśli masz litość,
Otwórz grobowiec i złóż mnie przy Julii.
umiera

ROMEO
Stanieć się zadość. Lecz któż to jest taki?
To hrabia Parys, Merkucja plemiennik!
Cóż to mi w drodze prawił mój służący?
Lecz wtedy moja nieprzytomna dusza
Uwagi na to nie zwróciła; Parys,
Mówił, podobno miał zaślubić Julię.
Czy on to mówił? czy mi się to śniło?
Czyli też jestem w obłąkaniu myśląc,
Że jego wzmianka o Julii tak brzmiała?
Daj mi uścisnąć twą dłoń, o ty, w jedną
Księgę niedoli ze mną zapisany!
Złożę twe zwłoki w tryumfalnym grobie.
W grobie? nie, młoda ofiaro, nie w grobie,
W latarni raczej, bo tu Julia leży;
A blask jej wdzięków zmienia to sklepienie
W przybytek światła. Spoczywaj w spokoju,
Trupie, rękami trupa pogrzebany!
składa ciało PARYSA w grobowcu

Mówią, że nieraz ludzie bliscy śmierci
Miewali chwile wesołe; ich stróże
Zwą to ostatnim przedśmiertnym wybłyskiem;
Coś podobnego i u mnie się zdarza?
Julio! kochanko moja! moja żono!
Śmierć, co wyssała miód twojego tchnienia,
Wdzięków twych zatrzeć nie zdołała jeszcze.
Nie jesteś jeszcze zwyciężoną: karmin,
Ten sztandar wdzięków, nie przestał powiewać
Na twoich licach i bladej swej flagi
Zniszczenie na nich jeszcze nie zatknęło.
Tybalcie, tyż to śpisz pod tym całunem?
Mogęż czym lepszym zadość ci uczynić,
Jak że tą ręką, co zabiła ciebie,
Przetnę dni tego, co był twoim wrogiem?
Przebacz mi, przebacz, Tybalcie! Ach, Julio!
Jakżeś ty jeszcze piękna! Mamże myśleć,
Że bezcielesna nawet śmierć ulega
Wpływom miłości? że chudy ten potwór
W ciemnicy tej cię trzyma jak kochankę?
Bojąc się tego, zostanę przy tobie
I nigdy, nigdy już nie wyjdę z tego
Pałacu nocy; tu, tu mieszkać będę
Pośród twojego orszaku – robactwa.
Tu sobie stałą założę siedzibę,
Gdy z tego ciała znużonego światem
Otrząsnę jarzmo gwiazd zawistnych. Oczy,
Spojrzyjcie po raz ostatni! ramiona,
Po raz ostatni zegnijcie się w uścisk!
A wy, podwoje tchu, zapieczętujcie

Pocałowaniem akt sojuszu z śmiercią
Na wieczne czasy mający się zawrzeć!
Pójdź, ty niesmaczny, cierpki przewodniku!
Blady sterniku, pójdź rzucić o skały
Falami życia skołataną łódkę!
Do ciebie, Julio!
pije

Walny aptekarzu!
Płyn twój skutkuje: całując – umieram.
umiera

Wchodzi OJCIEC LAURENTY z przeciwnej strony cmentarza, z latarnią, drągiem żelaznym i rydlem.

OJCIEC LAURENTY
Święty Franciszku, wspieraj mię! Jak często
O takiej porze stare moje stopy
O głazy grobów potrącały! Kto tu?

BALTAZAR
Przyjaciel, który was dobrze zna, ojcze.

OJCIEC LAURENTY
Bóg z tobą! Powiedz mi, mój przyjacielu,
Co znaczy owa pochodnia świecąca
Chyba robakom i bezoczym czaszkom?
Nie tlejeż ona w grobach Kapuletów?

BALTAZAR
Tam właśnie; jest tam i mój pan, któremu
Sprzyjacie, ojcze.

OJCIEC LAURENTY
Kto taki?

BALTAZAR
Romeo.

OJCIEC LAURENTY
Jak dawno on tam jest?!

BALTAZAR
Od pół godziny.

OJCIEC LAURENTY
Pójdź ze mną, bracie, do tych sklepień.

BALTAZAR
Nie śmiem;
Bo mi pan kazał odejść i straszliwie
Zagroził śmiercią, jeśli tu zostanę
I kroki jego ważę się podglądać.

OJCIEC LAURENTY
Zostań więc, ja sam pójdę. Drżę z obawy,
Czy się nie stało co nieszczęśliwego.

BALTAZAR
Gdym drzymał, leżąc owdzie pod cisami,
Marzyło mi się, że mój pan z kimś walczył
I że pokonał tamtego.

OJCIEC LAURENTY
postępując naprzód

Romeo!
Na miłość boską, czyjaż to krew broczy
Kamienne wnijście do tego grobowca?
Czyjeż to miecze samopas rzucone
Leżą u tego siedliska pokoju?
wchodzi do grobowca

Romeo! blady! – Parys! i on także!
I krwią zalany? Ach! cóż za fatalność
Tak opłakany zrządziła wypadek! –
Julia się budzi.

JULIA
budząc się i podnosząc

O pocieszycielu!

Gdzie mój kochanek? Wiem, gdzie być powinnam
I tam też jestem; lecz gdzie mój Romeo?
Hałas za sceną.

OJCIEC LAURENTY
Cóż to za hałas? Julio, wyjdźmy z tego
Mieszkania śmierci, zgrozy i zniszczenia.
Potęga, której nikt z nas się nie oprze,
Wniwecz zamiary nasze obróciła.
Pójdź; twój mąż leży martwy obok ciebie.
I Parys także. Pójdź; pójdź; zaprowadzęć
Do monasteru świętych sióstr zakonnych.
Nie zwłócz, nie pytaj, bo warta nadchodzi.
Pójdź, biedna Julio!
Znowu hałas.

Nie mogę już czekać.
wychodzi

JULIA
Idź z Bogiem, starcze; idź, ja tu zostanę.
Cóż to jest? Czara w zaciśniętej dłoni
Mego kochanka? Truciznę więc zażył!
O skąpiec! Wypił wszystko; ani kropli
Nie pozostawił dla mnie! Przytknę usta
Do twych kochanych ust, może tam jeszcze
Znajdzie się jaka odrobina jadu,
Co mię zabije w upojeniu błogim.
całuje go

Twe usta ciepłe.

DOWÓDCA WARTY
za sceną

Gdzie to? pokaż, chłopcze.

JULIA
Idą, czas kończyć.
chwytając sztylet ROMEA

Zbawczy puginale!
Tu twoje miejsce.
przebija się

Tkwij w tym futerale.
pada na ciało ROMEA i umiera

Wchodzi warta z PAZIEM Parysa.

PAŹ
Tu, tu w tym miejscu, gdzie płonie pochodnia.

DOWÓDCA WARTY
Ziemia zbroczona; obejdźcie w krąg cmentarz
I przytrzymajcie, kogo napotkacie.

Wychodzi kilku ludzi z warty.

Smutny widoku! tu hrabia zabity,
Tu Julia we krwi pływa, jeszcze ciepła,
Tylko co zmarła; ona, co przed dwoma
Dniami w tym grobie była pochowana.
Idźcie powiedzieć o tym księciu; śpieszcie,
Wy do Montekich, wy do Kapuletów,
A wy odbądźcie przegląd w innej stronie.

Wychodzi kilku innych wartowników.

Widzimy miejsce, gdzie zaszła ta zgroza,
Lecz w jaki sposób ona miała miejsce,
Tego nie możem pojąć bez objaśnień.

Wchodzi kilku innych wartowników z BALTAZAREM.

PIERWSZY WARTOWNIK
Oto Romea sługa, znaleźliśmy
Go na cmentarzu.

DOWÓDCA
Niech będzie pod strażą,
Dopóki książę nie nadejdzie.

Wchodzi kilku innych wartowników, prowadząc OJCA LAURENTEGO.

DRUGI WARTOWNIK
Oto mnich jakiś drżący i płaczący;
Odebraliśmy mu ten drąg i rydel,
Kiedy się bokiem cmentarza wykradał.

DOWÓDCA
To jakiś ptaszek; trzymajcie go także.
Wchodzi KSIĄŻĘ ze swym orszakiem.
Co za nieszczęście o tak rannej porze

Sen nasz przerwało i aż tu nas wzywa?
Wchodzi KAPULET, PANI KAPULET i inne osoby.

KAPULET
Jakiż być może powód tego zgiełku?

PANI KAPULET
Lud po ulicach wykrzykuje: „Julia!
Parys! Romeo!" i jedni przez drugich
Tłumnie tu dążą do naszego grobu.

KSIĄŻĘ
Cóż to za postrach rozruch ten sprowadza?!
Odpowiadajcie!

DOWÓDCA
Miłościwy Panie!
Oto zabity leży hrabia Parys!
Romeo martwy i Julia, wprzód zmarła,
A teraz ciepła z puginałem w piersi.

KSIĄŻĘ
Szukajcie, śledźcie sprawców tego mordu.

DOWÓDCA
Oto mnich jakiś i Romea sługa,
Których tu moi ludzie przytrzymali
I którzy mieli przy sobie narzędzia
Do odbijania grobów.

KAPULET
O nieba! żono, patrz, jak ją krew broczy!
Puginał zbłądził z drogi; oto bowiem
Pochwa od niego wisi przy Montekim;
Zamiast w nią trafić, trafił w pierś mej córki.

PANI KAPULET
Niestety! widok ten, jak odgłos dzwonu,
Ostrzega starość mą o chwili zgonu.

Wchodzi MONTEKI i inne osoby.

KSIĄŻĘ
Monteki, wcześnie wstałeś, aby ujrzeć
Nadziei swoich wcześniejszy upadek!

MONTEKI
Ach! miłościwy książę, żona moja
Zmarła tej nocy z tęsknoty za synem;
Jakiż cios jeszcze niebo mi przeznacza?

KSIĄŻĘ
Patrz, a zobaczysz!

MONTEKI
O niedobry synu!
Jak się ważyłeś w grób uprzedzić ojca?

KSIĄŻĘ
Zamknijcie usta żalowi na chwilę,
Póki zagadki tej nie rozwiążemy
I nie zbadamy jej źródła i wątku:
Wtedy sam stanę na skarg waszych czele
I będę waszej boleści heroldem.
Do samej śmierci. Proszę was o spokój
I niech ulegnie zły los cierpliwości.
Stawcie, na kogo pada podejrzenie.

OJCIEC LAURENTY
Ja to, o panie! lubo najmniej zdolny
Do popełnienia czegoś podobnego,
Jestem, ze względu na okoliczności,
Poszlakowany najprawdopodobniej
O dzieło tego okropnego mordu.
Staję więc jako własny oskarżyciel
I jako własny obrońca w tej sprawie,
By się potępić i usprawiedliwić.

KSIĄŻĘ
Mów, czegoś świadom.

OJCIEC LAURENTY
Zwięźle rzecz opowiem.
Bo tchnień mych pasmo krótsze jest zaiste
Niż długa powieść. Romeo, którego

Zwłoki tu leżą, był małżonkiem Julii,
A Julia była prawą jego żoną;
Jam ich zaślubił, a dniem tajemnego
Ich połączenia był ów dzień nieszczęsnej
Tybalta śmierci, która nowożeńca
Wygnała z miasta; i ten to był powód
Cierpienia Julii, nie żal po Tybalcie.
do Kapuletów

Wy, chcąc oddalić od niej chmury smutku,
Zaręczyliście ją i do małżeństwa
Z hrabią Parysem chcieliście ją zmusić.
W tej alternacie przyszła ona do mnie
I nalegała usilnymi prośby
O doradzenie jej jakiego środka,
Co by od tego powtórnego związku
Mógł ją uwolnić; w przeciwnym zaś razie
Chciała w mej celi życie sobie odjąć.
Dałem jej tedy, ufny w mojej sztuce,
Usypiające krople, których skutek
Bynajmniej mię nie zawiódł, bo jej nadał
Pozór umarłej. Napisałem przy tym
List do Romea, wzywając go, aby
Dzisiejszej nocy, o tej porze, w której
Działanie owych kropel miało ustać,
Zszedł się tu ze mną dla wyswobodzenia
Tej, co mu dała taki dowód wiary,
Z tymczasowego jej grobu. Traf zrządził,
Że brat Jan, który z listem był wysłany,
Nie mógł się z miasta wydostać i wczoraj
List ten mi zwrócił. O godzinie zatem

Na jej ocknienie ściśle naznaczonej
Sam pospieszyłem wyrwać ją z tych sklepień,
Chcąc ją następnie umieścić w mej celi,
Póki Romeo nie przybędzie; ale
Kiedym tu przyszedł (na niewiele minut
Przed jej zbudzeniem), już szlachetny Parys
Leżał bez duszy i Romeo także.
Ona się budzi, jam się jął przekładać,
By poszła ze mną i to dopuszczenie
Nieba przyjęła z korną uległością,
Gdy wtem zgiełk nagły spłoszył mię od grobu,
A ona, głucha na moje namowy,
Rozpaczą zdjęta, pozostała w miejscu
I, jak się zdaje, cios zadała sobie.
Oto jest wszystko, co wiem; o małżeństwie
Marta zaświadczy. Jeśli to nieszczęście
Choć najmniej z mojej nastąpiło winy,
Niech mój sędziwy wiek odpowie za to,
Na kilka godzin przed bliskim już kresem,
Wedle rygoru praw jak najsurowszych.

KSIĄŻĘ
Jako mąż święty zawsześ nam był znany.
Gdzie jest Romea sługa? Cóż on powie?

BALTAZAR
Zaniosłem panu wieść o śmierci Julii;
Wraz on wziął pocztę i z Mantui przybył
Prosto w to miejsce, do tego grobowca.
Ten list mi kazał rano oddać ojcu;
I w grób wstępując zagroził mi śmiercią,

Jeśli nie pójdę precz lub nazad wrócę.

KSIĄŻĘ
Daj mi to pismo, przejrzę je – a teraz,
Gdzie paź hrabiego, co wartę sprowadził?
Co twój pan, chłopcze, porabiał w tym miejscu?

PAŹ
Przyszedł kwiatami ubrać grób swej przyszłej;
Kazał mi stanąć z dala, com też zrobił;
Wtem ktoś ze światłem przyszedł grób otwierać
I mój pan dobył szpady przeciw niemu;
Co zobaczywszy, pobiegłem po wartę.

KSIĄŻĘ
List ten potwierdza słowa zakonnika,
Bieg ich miłości i Romea rozpacz.
Biedny młodzieniec pisze oprócz tego,
Że sobie kupił gdzieś u aptekarza
Trucizny, którą postanowił zażyć
W tym tu grobowcu, by umrzeć przy Julii.
Rzecz jasna! Gdzie są ci nieprzyjaciele?
Patrzcie, Monteki! Kapulecie! Jaka
Chłosta spotyka wasze nienawiści,
Niebo obrało miłość za narzędzie
Zabicia pociech waszego żywota;
I ja za moje zbytnie pobłażanie
Waszym niesnaskom straciłem dwóch krewnych.
Wszyscy jesteśmy ukarani.

KAPULET

Monteki, bracie mój, podaj mi rękę;
Niech to oprawą będzie dla mej córki;
Więcej nie mogę żądać.

MONTEKI
Lecz ja mogę
Więcej dać tobie nad to: każę bowiem
Posąg jej ulać ze szczerego złota,
By się nie znalazł szacowniejszy pomnik
Po wszystkie czasy istnienia Werony
Jak ten, pamięci Julii poświęcony.

KAPULET
Tak i Romeo stanie przy swej żonie;
Dzieląc za życia, złączmy ich po zgonie.

KSIĄŻĘ
Ponurą zgodę ranek ten skojarzył;
Słońce się z żalu w chmur zasłonę tuli;
Smutniejszej bowiem los jeszcze nie zdarzył,
Jak ta historia Romea i Julii
Wychodzą.

ISBN 978-832-680-802-9

Wydanie elektroniczne 2012

Na okładce wykorzystano fragment obrazu ukazujący scenę balkonową z dramatu „Romeo i Julia” Franka Bernarda Dicksee (1853–1928).

WYDAWCA
Agora SA
ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa

Konwersja i edycja publikacji

publio